Nr. 9 Rok 4 Kraków, dnia 28 lutego 1943. 40 gr.

Ilustrowany
KURJER POLSKI

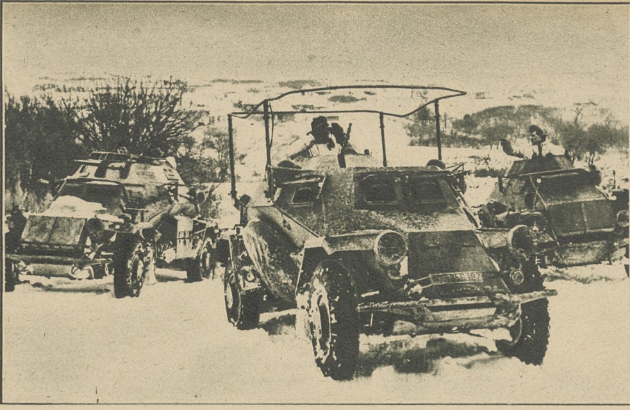


Chmura

Po czystym niebie płynie
biała chmura.
Skąd przyszła? Dokąd
podąża i poco?
Czy jakiś anioł zgubił
srebrne pióra,
Kiedy nad ziemią
przelatywał nocą?

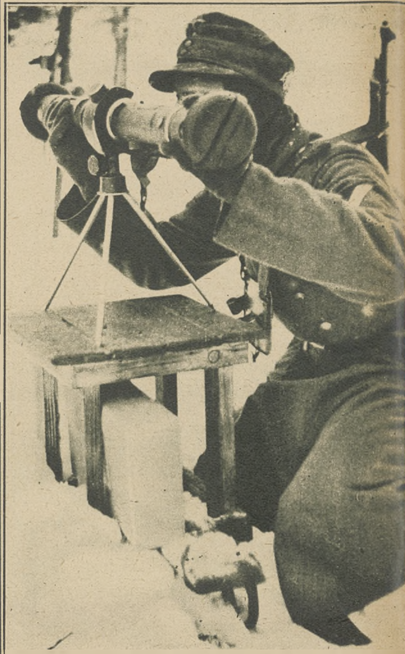
Fot. Archiwum I. K. P.

Na froncie wschodnim



PRZED BITWĄ
Niemieckie wywiadowcze wozy pancerne dobrze zamaskowane sloją golowe do akcji. Kierowcy wozów obserwują bystro leren, by na czas odkryć nieprzyjaciela.

Fol: Liedtke, Slickers — Scharl, Theobald, Eberl — Allantic





U góry:

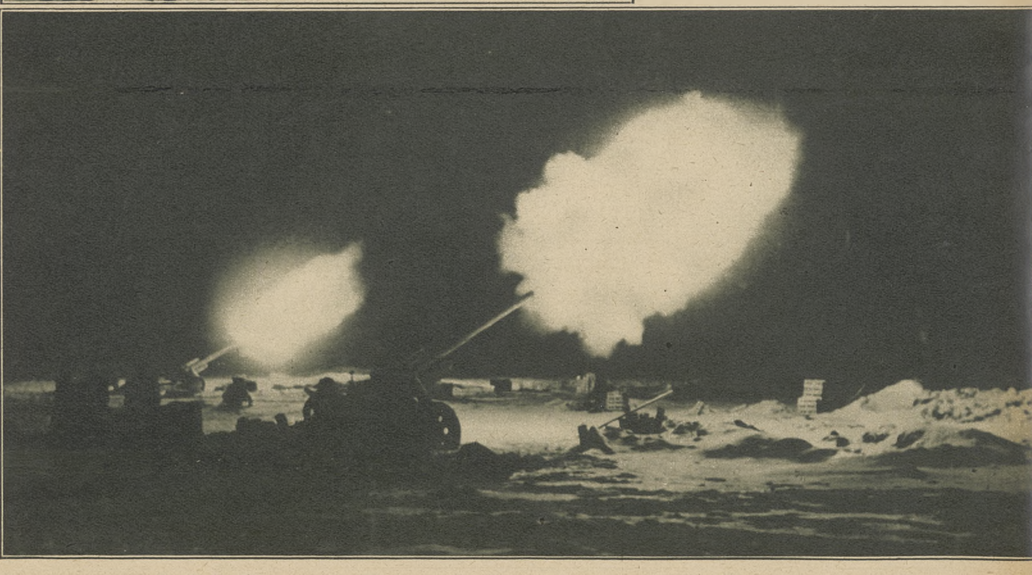
PRZY CIĘŻKIEJ ARTYLERII
Zanim działa rozpoczną ogień, obserwator niemieckiej baterii mierzy odległość dzielącą baterię od nieprzyjacielskich pozycji.

Na lewo:

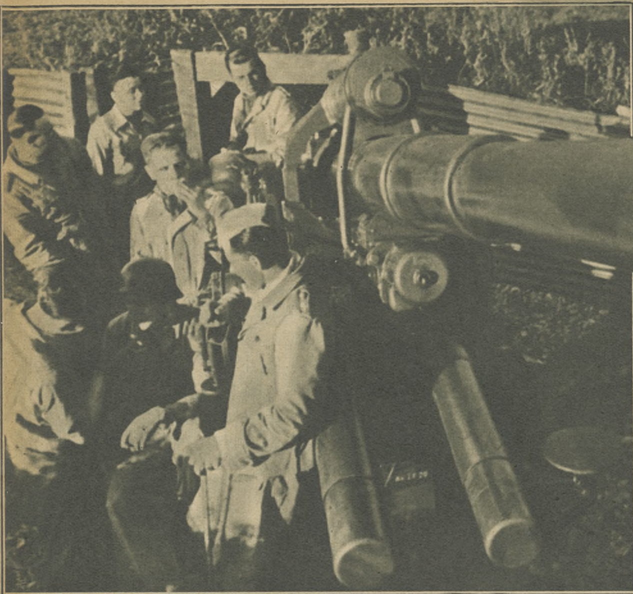
LIKWIDOWANIE SOWIECKIEGO BUNKRA
Żołnierz niemiecki alakuje miotaczem płomieni bunkier, który następnie szturmem zdobyto.

U dołu:

NOCNA WALKA
Strzał za strzałem ślą niemieckie balerie na bolszewików i w ten sposób unicestwiają ich próby ataku.



W Tunisie



NIEMIECKA CIĘŻKA ARTYLERIA PRZECIWLOTNICZA

Również i w czasie przerw między walkami stoją kanonierzy obok swych dział, gotowi w każdej chwili podjąć na nowo ogień na nieprzyjaciela.

Fot: PK. Grosse — PBZ, Wichura, Koch (2) — Scherl

U dołu:

ODTRANSPORTOWANIE JEŃCÓW

Przewożenie jeńców brytyjskich, — tym razem samych kolorowych, — w łodziach przez rzekę, do obozu jeńców.





U góry:

PRZED ATAKIEM

Wśród gęstego lasu kaktusów oczekują czołgi niemieckie na rozkaz do ataku na pozycje angielsko-amerykańskie.

U dołu:

CZOŁGI SUNĄ NAPRZÓD

O świcie wyruszają czołgi niemieckie i suną wprost na nieprzyjaciela.



OD ŚCIEŻKI







U góry:

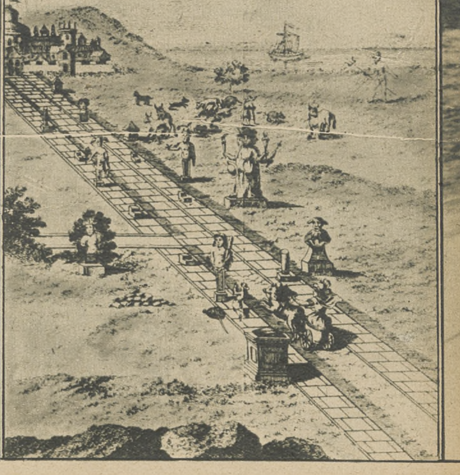
Via Appia, starorzymska droga, wybudowana w 312 r. przed Chrystusem. Jeszcze dziś służy do użytku.

Reljef, przedstawiający symbol handlu w starożytności.

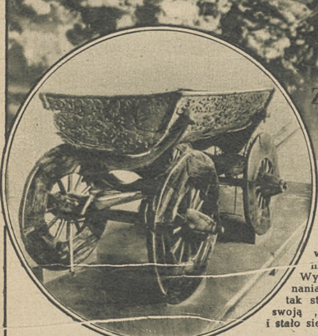
Foto: Historia-Photo 4, Archiwum 5

Poniżej:

Rzymska droga wojskowa. Po obu stronach widać małe ławeczki przeznaczone dla wypoczynku, opodal opiekuńcze bożki.



Zanim rozwój komunikacji przebył olbrzymią drogę od ścieżki do autostrady... Przebył olbrzymią drogę od ścieżki do autostrady? W jednym zdaniu trzy synonimy! Czemu nie powiedzieć: przebył ścieżkę, albo autostradę? Ani ścieżka ani autostrada nie zastąpią tutaj drogi, bo droga to wyraz, który już przeszedł od określenia pojęć związanych z komunikacją do całego szeregu innych pojęć; droga do szczęścia, droga postępu, droga rozwoju, droga żelazna, droga powietrzna, drogi oddechowe, droga morska. Jeśli już operujemy przenośniami, to „swoją drogą" będzie daleko częściej używanym powiedzonkiem; niektórzy dla oryginalności, aby nie powtarzać się, powiedzą „swoją ulicą"... Wystarczy tych przykładów, aby nabrać przekonania, że słowo „droga" jest widocznie w języku tak stare, i tak często używane, że przeszło całą swoją „drogę rozwojową" przez różne określenia i stało się w nich niezbędne.





Powyżej

Wśród takich gąszczy człowiek przedhistoryczny musiał sobie torować **d r o g ę**, wracając z łupem do domu.

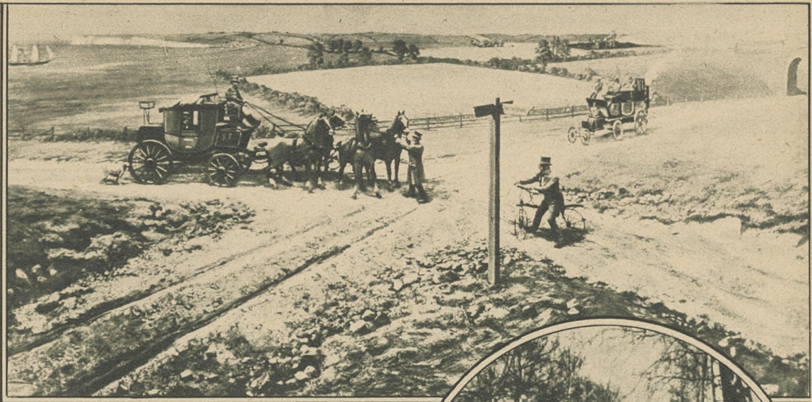
Powyżej na lewo:

Wóz norweski z IX wieku, znaleziony w wykopaliskach.

Na lewo:

Aż dwie pary wołów musiały ciągnąć przedhistoryczny wóz.

Ale porzućmy dociekania językowe, a przejdźmy do historii dróg. Oczywiście zaczniemy od czasów przedhistorycznych. Każdy laik domyśli się, że nie było wtedy dróg, tylko ścieżki — choćby stąd, że tytuł brzmi: „od ścieżki do autostrady". Ale chociaż wszyscy już wiedzą, powiem jednak słowami p. Jowialskiego: — Wiecie, to posłuchajcie. Otóż musiały być wtedy tylko ścieżki, bo przecież człowiek przedhistoryczny „chadzał" pieszo. Jego ścieżka nie była jego tylko ścieżką, a chodził nią również i dziki zwierz, który polował na człowieka, również dzikiego. Długo musiał człowiek chodzić swoją ścieżką, zanim zdobył się na drogę. Musiał najpierw oswoić sobie zwierzę pociągowe, a potem przebyć okres jazdy wyłącznie wierzchem.



Pierwsze jego pojazdy? Pożal się Boże! Koła wyrżnięte z pnia, bez szprych, tak jak zabawki naszych dzieci, a droga dla tego pojazdu — trochę tylko szersza ścieżka. Niechętnie wybierał się w podróż nasz przodek, bo podróż taka często prowadziła do wieczności, a handlowe podróże trwały całymi miesiącami, a nawet latami. Dla krótszych podróży lepsza była szkapa mocna a ścigła, by w razie potrzeby umknąć niebezpieczeństwa. Ciężkim wozom trudniej było uciec przed amatorami cudzego dobra, toteż musiały mieć straż dla obrony przed napadem. Często trafiało się wozom ugrzęznąć gdzieś w bajorze lub połamać osi, co opóźniało znacznie podróż. Drogi były rarytasem, toteż były zazdrośnie strzeżone przez miasta i państwa i trzeba było się okupywać chcąc ich użyć. Mówicie, że nie było za co płacić? Słuszna uwaga! Droga sama nie była wygodna, ale wytrzebienie lasu i jakie takie wyrównanie terenu wymagało jak na ówczesne stosunki wiele pracy i kosztów. Niestety, ten stan rzeczy trwał bardzo długo. Droga w tym stanie przetrwała chyba kilkanaście stuleci, jedynie pojazdy ulepszono. Zamiast kół pełnych były ze szprychami, zjawiły się pasy, a później żelazne resory dla zmniejszenia wstrząsów.

Aż nagle w w. XIX droga, która już zwątpiła w możliwość postępu, nagle przeszła taki wstrząs rozwojowy, że do dziś dnia nie może przyjść do siebie: za szybkie tempo jak na staruszkę kilkudziesięciowieczną. Bo i droga żelazna i wspaniała bita, twarda szosa prawie równocześnie powstają, a potem ani się nie opamiętała jak nagle wyrosły gładkie jak stół, wykładane twardą kostką lub lśniącym asfaltem drogi nowoczesne, a wreszcie ostatni krzyk — autostrady.

Na skrzyżowaniu dróg. Przenieśmy się myślami w drugą połowę XIX. wieku i podziwiajmy charakterystyczne dla owych czasów środki lokomocji i drogi.

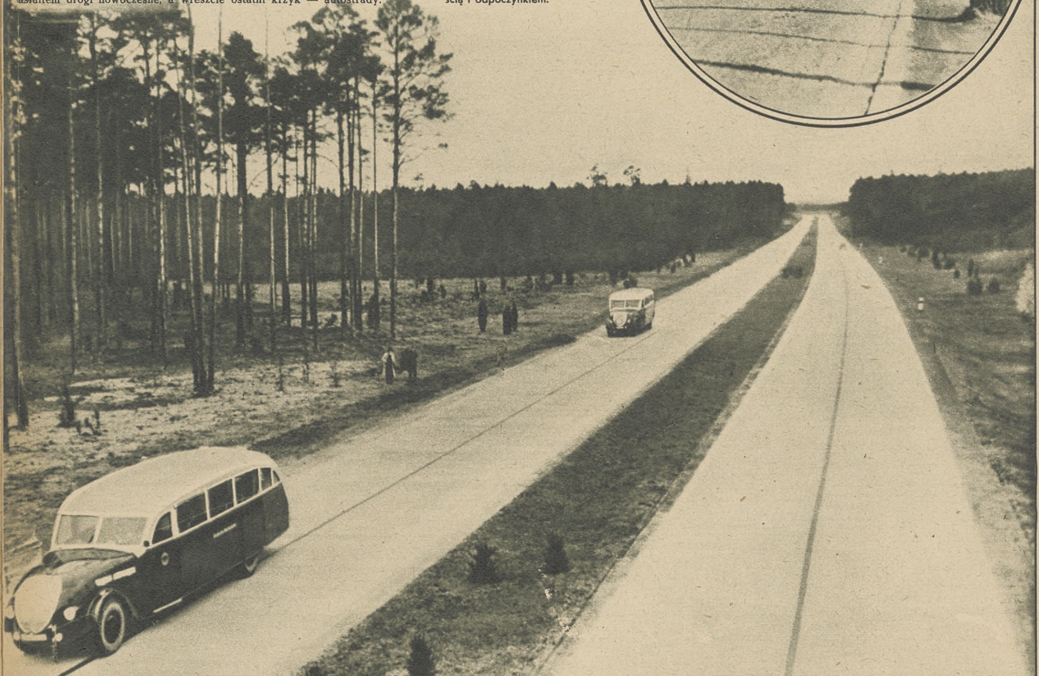


Na prawo:

Nowoczesna szosa kostkowa, ocieniona drzewami dla ochłody i ochrony przed wichrami.

Poniżej:

Najnowszy wyczyn techniki z dziedziny budowy dróg — autostrada. Gładka powierzchnia dwutorowej drogi zabezpiecza przed zderzeniami, oszczędza materiał pędny i sprzęt, czyni podróż prawdziwą przyjemnością i odpoczynkiem.



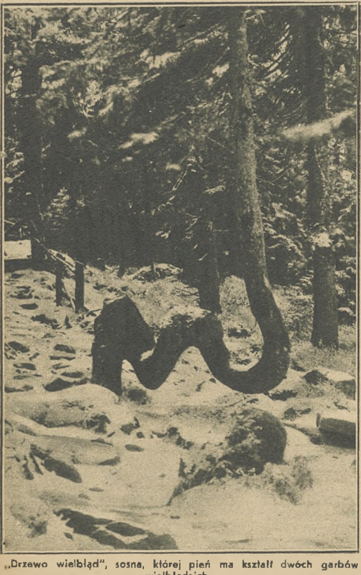
DO AUTOSTRADY

DZIWOLĄGI





Gdy człowiek zmiania przyrodę czyni to najczęściej ze względów gospodarczych, jak np. dzieje się to przy budowie dróg, regulacji rzek albo w gospodarstwie leśnym. Często jednak czyni to z zamiłowania do rzeczy osobliwych. Już od najdawniejszych czasów znajdowali ludzie niezwykłą przyjemność w nadawaniu roślinom fantastycznych kształtów. Jednym z przykładów tej rozrywki — szczególnie lubianej w czasach baroku jest drzewo, któremu ogrodnik nadał kształt parasola (zdjęcie na lewo). Że często jednak sama przyroda nadaje roślinom dziwaczne kształty, możemy przekonać się ze zdjęć zamieszczanych obok. Na prawo u góry widzimy bramę utworzoną z dwóch zrośniętych buków.



„Drzewo wielbłąd", sosna, której pień ma kształt dwóch garbów wielbłądzich.



Sosna, przy której wiatr i sloty wymyły piasek, tak że drzewo stoi na swych korzeniach, jakby na licznych wysokich nogach.

Fot: Löhrich 2, Archiv. IKP. 2

Ciąg dalszy z ostatniego numeru

Żywot człowieka beznamiętnego

Napisał F. Szczuka

Trudno mi jest mówić o sobie. Jestem również mało skłonny do zwierzeń. Zmuszony jednak byłem podać swoje plusy i minusy, przyznać się, że bynajmniej nie jestem zadowolony z tego czym jestem, że jednak nie myślę o odmianie, pragnę żyć jaknajprzyjemniej i brać z życia to, co mi w danej chwili daje.

Te zwierzenia ściślej jeszcze zespoliły nasze kółko. Wydawało nam się, że w ten sposób byliśmy grupą nierozerwalną, bo byliśmy w posiadaniu naszych tajemnic, których tak łatwo nie oddaje się obcym.

19 października.

Skończyły się piękne dni jesienne, a z nimi nasze pogawędki pod gołym niebem. Zbieraliśmy się teraz w mieszkaniu p. W.

Skromnie umeblowany, ale miły i przytulny pokój dawał nam złudzenie czegoś własnego. Przy tym miła gospodyni miała dar stworzenia atmosfery rodzinnej, a równocześnie po studencku swobodnej i nieskrępowanej. Ograniczyliśmy nasze wyjścia do miejsc publicznych do wypadków koniecznych, np. spotkań z kimś spoza naszego grona, teatrów, koncertów czy kina. Czytywaliśmy wspólnie interesujące nas wszystkich utwory, omawialiśmy ich wartość, wymyślaliśmy zabawy towarzyskie.

Dzisiejszy dzień jest ważnym wydarzeniem w naszym życiu. Zeszliśmy na temat naszego stosunku. Nie zastanawialiśmy się dotychczas do czego dążymy i jak ma się na przyszłość ukształtować nasze życie. Braliśmy też pod uwagę ewentualność rozbicia się naszej czwórki. Poza wyjazdem widzieliśmy jedną tylko możliwość: małżeństwo kogoś z nas. To jednak na razie jest wykluczone. Istniałoby jeszcze jedno groźne niebezpieczeństwo dla naszej wspólnoty: gdyby się ktoś z nas zakochał w p. W. Zaprzeczamy wszyscy kategorycznie możliwości takiego rozwiązania. Jesteśmy przyjaciółmi, łączy nas wszystkich stosunek ściśle koleżeński i nic poza tym. Przyrzekamy sobie nie dopuścić do zerwania naszej czwórki. P. W. zapewniła nas również, że wszystkich nas kocha jednakowym uczuciem przyjaźni. Wobec tego jesteśmy spokojni, że z tej strony nic nam nie grozi. Gdyby jednak zaszła jakaś zmiana w ustosunkowaniu się naszym, mieliśmy o tym lojalnie wszystkich zawiadomić. Jesteśmy wszyscy wolni i poza wspólnymi zebraniami mamy prawo prowadzić nasze życie odrębne.

Wieczorem, pisząc te słowa, zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa i niedorzeczności takich przyrzeczeń. Po pierwsze, nie jesteśmy na tyle panami naszych uczuć, aby przyrzekać, że wobec Wandy zachowamy tylko uczucia przyjaźni. Faktem jest, że nam się wszystkim podobała. A gdyby ktoś z nas zakochał się w niej, dążyłby do odseparowania się od reszty, bo miłość nie zna kompromisów i spółek. Po wtóre życie swobodne poza wspólnymi zebraniami sprowadziłoby atmosferę nieszczerości. Albo wszystko, albo nic. Połowiczności nie ma. Zastanawiałem się także nad tym, co by się stało, gdyby p. W. zakochała się w kimś spoza nas. Narazie nie groziło to, ale przecież mogło nastąpić. Postanowiłem poruszyc te wątpliwości nazajutrz.

20 października.

Zgodnie z postanowieniem dnia poprzedniego wyłuszczyłem moje wątpliwości. Zostałem zakrzyczany i zwymyślany od sceptyków i „filozofów" Zarzucono mi, że psuję nastrój swoimi wymysłami. Nikomu na myśl nie przyszły podobne wątpliwości, tylko mnie, bo jestem tetryk, że mam już dość ich towarzystwa, że nie ma we mnie ani za grosz entuzjazmu, itp. Skapitulowałem wobec tak jednomyślnego potępienia.

Po jakimś czasie, gdy już zapomniałem o tamtej scenie, nagle wstaje Stefan i ni stąd ni zowąd zaczyna wygłaszać do mnie wiersz, z którego absolutnie nic nie rozumiałem. Nie dlatego, żeby był bez sensu, ale miał charakter życzeń. Potem nastąpiło wręczenie podarunku. Dopiero zorientowałem się, że dziś są moje urodziny. Wzruszony byłem takim dowodem pamięci, dotychczas bowiem zawsze obchodziłem imieniny.

Potem była uczta, podczas której nastąpiło ogólne zbratanie. Zauważyłem, że Stefan zbyt długo i namiętnie całował p. W., wcale nie po bratersku. Ale przeszedłem nad tym do porządku i wkrótce zapomniałem. To serdeczne zbratanie całkowicie rozprószyło moje złe myśli o trwałości naszej przyjaźni.

Rozstaliśmy się późno i długo jeszcze chodziliśmy po ulicach miasta, pustego już zupełnie, rozprawiając o przyjaźni i miłości, o wyższości uczucia przyjaźni, o jego korzyściach, itp. Głosy nasze, nieco podniesione, rozlegały się donośnie jak w pustym kościele.

28 października.

Pisanie pamiętnika uważałem zawsze za przywilej pensjonarek i aż do tego czasu nie zdobyłem się na spisywanie swoich przeżyć. Nigdy bym nie podjął tego niepotrzebnego trudu, gdyby nie przeświadczenie, że moje życie na samodzielnym stanowisku będzie ciekawe i godne opisu. Od czasu poznania p. W. czuję, że warto śledzić tok życia naszej „czwórki" i zapisywać bieg wydarzeń. Jak dotychczas, nie odczuwam potrzeby zapisywania moich zajęć codziennych. Wydawały mi się nieciekawe i monotonne. Życie w czwórce nie jest bynajmniej monotonne, codziennie dzieje się coś innego, i dlatego warto zadać sobie trochę trudu, aby później móc analizować rozwój naszego stosunku.

Przerwy między jednym chwytem za pióro a drugim wynikają najczęściej z tego, że dość późno się rozstajemy i rzadko tylko jestem sam. Ot, dziś na przykład, pierwszy raz od dłuższego czasu jestem wcześniej w domu z powodu jakiegoś zajęcia p. W. Każdy z nas znalazł sobie także jakieś zajęcie, zresztą otwarcie powiedzieliśmy sobie, że dobrze jest od czasu do czasu poprzestać na towarzystwie innych ludzi, spoza naszej czwórki, aby nie utracić kontaktu ze światem, a jeszcze lepiej czasem pozostać samotnym.

W ostatnich czasach częściej zdarzało się nam spędzać czas wolny samotnie lub w innym gronie. Odczuwałem wtedy brak naszej czwórki. Nie jest to także to samo obcować z każdym z naszej czwórki oddzielnie. Zawsze brak tej reszty. Każdy z nas sam nie przedstawia tej wartości, co wszyscy razem. Możnaby powiedzieć, ze stanowimy tak sharmonizowany zespół, że brak jednego powoduje dysharmonię.

Wczoraj przechodząc ulicą, przy której mieszka Wanda, spotkałem Stefana. Nie miałem zamiaru zatrzymywać się z nim, bo spieszyłem się coś zakupić przed zamknięciem sklepów, ale uderzyło mnie to, że chciał się mnie pozbyć, obawiał się jak gdyby, że będę chciał mu towarzyszyć. Pożegnałem się i nie myślałem o tym więcej. Dzisiaj dopiero mówiąc z Romanem wspomniałem mu o tym mimochodem, pytając go, czy Stefan nie ma jakiegoś zmartwienia, bo wydawał mi się jakiś zaaferowany. Na to roześmiał się i wyjaśnił mi, że widział go z przeciwnej strony ulicy przechadzającego się przez dłuższy czas tam i z powrotem i spoglądającego w okna domu, gdzie mieszkała W.

Więc to tak? — pomyślałem sobie — Nie może biedak wytrzymać bez jej widoku, więc spogląda przynajmniej na jej okna. Poznałem z miny Romana, że chciał coś więcej powiedzieć, ale nie miał widocznie odwagi, a ja mu nie dopomogłem.

Czy mamy, na ten temat mówić ze Stefanem? W myśl naszej umowy powinniśmy. Ale wydarzenie wydawało mi się tak błahe i nie znaczące, że nie chciałem z tego robić tematu do dyskusji. Zresztą delikatność wymagała, aby nie zawstydzać go. Bo i cóż w tym złego, że sobie chodzi po ulicy przed jej domem? Może chciał jej coś ważnego powiedzieć i czekali aż przyjdzie? Zresztą chodzenie pod oknami nie świadczy jeszcze o niczym, choćby nawet nie miał jej nic ważnego do powiedzenia. Mógł także Roman się pomylić.

29 października.

Dzisiaj jesteśmy znowu razem. Pani W. wesoła i gadatliwa, Stefan tryska dowcipem jak nigdy, ale Roman jakiś chmurny i więcej niż zwykle małomówny. Wanda i Stefan w ferworze nie dostrzegają, że coś się z Romanem dzieje, jak zwykle u osób bardzo czymś przejętych, ja natomiast grając teraz rolę obserwatora patrzę trzeźwo i wietrzę jakąś tajemnicę. Czyżby coś zaszło między Stefanem i Wandą? Z wczorajszego spotkania Stefana pod domem W. i słów Romana wysnuwam jakiś możliwy przebieg zdarzeń. Więc Roman, jak wynika z nieopatrznie wypowiedzianych słów, śledził Stefana i domyślił się, że ten może być zakochany w W. Upewniło go w tym wpatrywanie się w okna. Człowiek odczuwający tylko przyjaźń do kobiety nie będzie chodził jak sztubak pod jej oknami. Jeśli ma interes do niej, wejdzie do domu, albo jak w tym wypadku, wiedząc że jest zajęta, odłoży to do następnego dnia. Stefan jednak inaczej postępuje niż człowiek zwyczajny. Albo chce ją spotkać na ulicy, bo myśli, że przecież nie jest możliwe, żeby nie wyszła przez całe popołudnie z domu, albo nie dowierzając jej chce wybadać, czy przypadkiem kogoś nie przyjmuje w tym czasie. Wpatrywania się w okna bez wyraźnego celu nie dopuszcza Roman, bo zna dobrze Stefana. Być może, że Roman wie coś więcej, czego ja się nie domyślam. Tak staram się biec za myślami Romana.

Ale wtem uderzyło mnie, że i Roman nie jest bez winy. W jakim celu stał na drugiej stronie ulicy i wypatrywał? Przypominam sobie jego słowa. Powiedział, że widział Stefana przechadzającego się przez dłuższy czas pod domem Wandy. A więc i on musiał stać przez dłuższy czas po przeciwnej stronie ulicy. Jaki miał w tym cel? Zdemaskować Stefana? Czemuż w takim razie nic nie mówi? Z prostej ciekawości tylko? Jego milczenie i ponura mina mówią co innego. A może widzi, że Stefan sprzeniewierza się naszym przyrzeczeniom i obawia się o rozerwanie naszej czwórki? Może i to być, ale wygląda mi to na coś poważniejszego. Nie wypowiadam jednak dalszego sądu, dopóki bliżej sprawy nie zbadam. Postanawiam odtąd lepiej ich obserwować.

Moje zamyślenie zwróciło uwagę, więc chcąc wytłumaczyć się, mówię coś o kłopotach biurowych. Nie chcą słuchać. Rozbawieni wciągają mnie w rozmowę. Albo wyczerpali się albo zmroziła ich mina Romana i moja trzeźwość, bo wkrótce i oni poważnieją.

— Co wam jest? Co za grobowe miny? Psujecie cały nastrój! Jak macie jakieś zmartwienie, to mówcie! Po to jesteśmy tutaj razem, aby wspólnie coś obmyślić.

Tłumaczę się jak mogę, że nic mi nie jest, że rzeczywiście mam kłopoty biurowe, ale to głupstwo, nie warte zachodu. Mówię przekonywująco i zdają się być przekonani. Ale z Romana nie można wyciągnąć słowa. Milczy i tylko patrzy na nas wzrokiem, w którym widzimy (a raczej ja widzę) jakiś wyrzut, ból, zgnębienie.

Nie mam ochoty dalej rozwiązywać zagadki, więc wstaję i żegnam się. Roman ociągając się jak gdyby czekał na zaproszenie do pozostania, wstaje również i żegna się.

Wychodzimy. Na schodach przystaje nagle i mówi:

— Wrócę jeszcze na górę. Mam coś do powiedzenia Wandzie.

Poszedłem sam do domu. Długo nie mogłem zasnąć, więc zabrałem się do pisania. Teraz już miałem pewność, że Roman kocha się w Wandzie. Inaczej nie można sobie wytłumaczyć jego postępowania. Widzi w Stefanie szczęśliwszego konkurenta i stąd jego zgnębienie. Swoją drogą nie spodziewałem się tego po nim. I to śledzenie — również nie w jego stylu. Co z człowieka robi miłość! W dodatku nieszczęśliwa.

Czuję, że na mnie spadnie obowiązek wyjaśnienia tych spraw. Niech się zdeklarują. Albo zachowujemy nasze umowy, albo unieważniamy je i rozchodzimy się. Żal mi naszych wspólnych zebrań, postanawiam więc działać. Obawiam się tylko, abym zbytnią szczerością nie popsuł sprawy i nie przyspieszył konfliktu. Kiepskim jestem dyplomatą.

30 października.

Na obiedzie spotykam najpierw Stefana. Pytam się czy Romanowi poprawił się wczoraj humor.

— Nic a nic! Dalej siedział chmurny. Aż Wanda powiedziała mu dość niegrzecznie: „Jak jesteś w złym humorze i nie chcesz powiedzieć co ci jest, to siedź w domu, a nie psuj innym zabawy!" Wstał i pożegnał się. Wyszliśmy razem. Chciałem z nim pomówić rozsądnie, ale bąkał tylko coś pod nosem, z czego nic nie mogłem wymiarkować.

Próbuję go naprowadzić:

— A może obawia się, że nasza czwórka może się rozbić?

Zasypał mnie gradem słów, z których wywnioskowałem, że z tej strony nic nie grozi. Mówił tak szczerze i z takim zapałem o przyjaźni, o swobodzie korzystania ze sposobności zabawienia się, rozrywki, że byłem pod urokiem jego elokwencji i przyznałem mu słuszność.

Nie poznał więc co się działo z Romanem. Tym lepiej.

Ale nie rozwiązałem zagadki Romana.

Wtem widzę ich wchodzących razem. Stefan jak zwykle wita się z nimi wylewnie. Roman jakby odmieniony. Z oczu bije mu radość, której nie umie ukryć. Żartuje nawet, i to ze Stefana.

Wesołość wszystkich udziela się i mnie. Zapominam o zagadce i cieszę się ich wesołością. Zwłaszcza dobry humor Stefana i Romana, jako w moim mniemaniu konkurentów, przyćmił we mnie wszelkie podejrzenia.

Wychodzimy dość późno już. Na ulicach ciemno. Stefan proponuje, abyśmy poszli do jakiegoś lokalu na przedmieściu. Nie do znanego, eleganckiego lokalu, ale jakiegoś podrzędnego, aby zobaczyć jak się bawi lud.

Tymczasem „ludu" wcale nie było. Było kilku mężczyzn przy kuflach piwa. Poważni i skupieni, rozmawiali cichaczem. Gospodarz przyjął nas podejrzliwie. Goście z nieufnością. Widocznie nie „pasowaliśmy" do tego lokalu. Weszliśmy do drugiego pokoju, całkiem pustego. W kącie stało pianino. Zasiadłem do pianina i zacząłem wygrywać znane mi piosenki i tańce. Stefan i Roman podrygiwali wespół z Wandą, udając że tańczą i podśpiewywali fałszywymi głosami. Przyroda nie wyposażyła ich pod tym względem. Ale mimo to było ogromnie wesoło. Zwłaszcza, że mieliśmy już trochę w głowach.

Wyobrażam sobie zdziwienie towarzystwa z pierwszej sali. Gdybyśmy sami byli świadkami takiej zabawy, na pewno ubawiliśmy się i uśmiali. Ale nie myśleliśmy na szczęście o tym jak wyglądamy w oczach obserwatorów postronnych. Gdyby wszyscy ludzie mogli widzieć siebie oczyma krytycznymi, nie byłoby tyle głupstw na świecie, nie byłoby także zabaw.

Tak więc dzięki pozbyciu się samokrytycyzmu czuliśmy się świetnie.

Wilgotna, chłodna noc październikowa owiała nasze rozgorączkowane głowy i ostudziła zapały. Puste ulice, błyszczące w świetle lamp, mokre chodniki i jezdnie wydawały nam się tak piękne, romantyczne, jak piękne i romantyczne były nasze myśli. Odczuwaliśmy miłość do całego świata, pełnię szczęścia i chęć rozdzielania tego szczęścia wszystkim. Ale nie spotkaliśmy nikogo, ktoby chciał skorzystać z naszej szczodrości.

8 listopada.

Wypadki dni poprzednich nic nie zmieniły w naszych losach. Roman w dalszym ciągu zadowolony i uśmiechnięty, Stefan nadskakuje Wandzie i stara się okazać interesującym. Jest nim też bezsprzecznie. Zaczynam po trosze zazdrościć im szczęśliwych chwil. Rola obserwatora i stróża czwórki zaczyna mnie nudzić. Widzę, że rozlatuje się w gruzy nasz gmach przyjaźni zbiorowej. Stefan i Roman ulokowali już w Wandzie swoje wyłączne uczucia, wcale nie przyjacielskie, i tylko prześcigują się w zyskiwaniu jej względów.

Coś tam musiało zajść między Wandą a Romanem, albo też nasza przyjaciółka obrała sobie taktykę wygrywania jednego przeciw drugiemu. Tym wyróżnionym jest teraz Roman. Stefan, chwilowo odsunięty, wytęża cały swój dowcip, cały arsenał półsłówek, powiedzonek, kalamburów i paradoksów, aby okazać się bardziej interesującym, pokazać Wandzie co traci odsuwając go od siebie.

W moim przekonaniu gra Wandy polega na tym, aby zaostrzyć rywalizację między przyjaciółmi, a w momencie decydującym rzucić się w ramiona wybranego, w chwili gdy dokona wyboru. Tym wybranym wydaje mi się już teraz Stefan. Nie znam na tyle kobiet, aby sądzić bezwzględnie jakie mogą być cele dążeń Wandy. Jeśli jej zależy na małżeństwie, lepszym obiektem jest Roman. Człowiek poważny, konsekwentny, zdolny zapewnić kobiecie przyszłość trwałą i bez niespodzianek. Stefan, natura porywcza i, jak każdy „cygan" niekonsekwentny i nierówny, zdolny jest do najwyższych wzlotów, ale i do nieuzasadnionych spadków namiętności. Na takim fundamencie nie można budować trwałych budowli. Jeśli jednak Wanda, która w pierwszym małżeństwie miała aż nadto niemiły przykład nieodpowiedniego doboru, nie ma zamiaru wiązać się małżeństwem, Stefan byłby najlepszym „okazem" przyjaciela.

Wyjdę na chwilę z roli obserwatora i postaram się przedstawić moje uczucia, jeśli nieudolne pióro pozwoli mi oddać to, co w tej chwili trudne jest do ujęcia.

Rola moja z chwilą ujawnienia się właściwego stosunku trojga przyjaciół jest co najmniej dziwna. Jestem teraz pożądanym przez wszystkich pośrednikiem i stróżem moralności. Nie odpowiada mi jednak taka rola. Zazdrość mnie bierze, że ci dwaj będą korzystali z moich usług, podczas gdy ja wciąż jeszcze udając, że nic nie widzę, uchodzę może w ich oczach za głupca wystrychniętego przez nich na dudka. Tym gorliwiej asystowałem im, aby nie pozwolić na sam na

Syntezy

Wszystko jedno czy Cię nazwę Bogiem —
Czy energii niezniszczalnej sumą —
Czy ogarnąć Cię zechcę miłością,
Czy wymierzyć logiką rozumu —.
Nie uchylisz się mojej tęsknocie!
Chociaż wzrok mój ślepotą dotknięty
Poomacku Cię w sobie odnajdę
Gdzie spoczywasz we śnie immanentnym!
Potem wyjdę miedzami, pod zorzę,
By Cię w drzewach pozdrowić i ptakach.
I do ziemi przypadnę w pokorze,
I ze szczęścia będę cicho płakać. —
Już nie powiem: Samotność — bo skłamię!
Życie płynie . . . i pełza . . . i rośnie . . .
Tylko pójdę czujna nieustannie,
By robaka pod stopą nie rozgnieść!
I nie cofnę się myślą przed zgonem.
Bezgraniczny — pozwalasz mi wierzyć,
Że atomy śmiercią rozpruszone,
Zwiążesz w nowe, radosne syntezy!

Irena Wilk

sam któregokolwiek z nich z Wandą. Analizując moje uczucia do Wandy, przekonuję się, że o miłości nie może być mowy. Najwyżej zazdrość z powodu pominięcia mojej osoby i niezadowolenie z powodu odgrywania roli bądź co bądź podrzędnej. Nie mam jednak natury mściwej i nie życzyłem nikomu z nich źle. Dobrze mi było w ich towarzystwie i odczuwałem wdzięczność za atmosferę, jakiej w żadnym dotychczasowym kole znajomych nie znajdowałem. Jednak przyjaźń swoją drogą a ambicja swoją. Dlatego postanowiłem starać się o poprawienie mojego stanowiska. Jak to uczynić, na razie nie wiedziałem.

Kto wie czy nie byłbym zdolny przy sprzyjających okolicznościach (tą okolicznością w tym wypadku Wanda) być tym trzecim, korzystającym. Zazdrość moja jednak tak daleko nie doszła, abym miał poczynić jakieś w tym kierunku kroki. Poza tym sprzyjałem Romanowi, jako moim zdaniem stronie słabszej, i jak długo nie byłem pewny jego przewagi, gotów byłem pomagać mu w osiąganiu celu. Tyle o sobie.

Muszę jeszcze wspomnieć, że zacząłem od niedawna interesować się sportem zimowym, łyżwiarskim i narciarskim, co mi daje wiele radości i zadowolenia. Na razie jestem zajęty kompletowaniem ekwipunku sportowego, aby godnie wystąpić na otwarcie sezonu. Mam już towarzystwo, z którym mam zamiar uprawiać ten miły sport. Jest to małżeństwo o typie koleżeńskim, jaki mi bardzo odpowiada.

12 listopada.

Wczoraj wieczór niespodziewanie nastąpiła katastrofa. Miałem dobre przeczucie. Wanda rzeczywiście miała na względzie drażnienie Stefana udanym zajęciem się Romanem. Ale zacznę rzecz od początku.

Po południu jak zwykle cała trójka, tym razem beze mnie, udała się do mieszkania Wandy. Co tam zaszło znam z relacji obydwu stron. Na pozór nic się nie zmieniło. Stefan jak zwykle ożywiony, Wanda czarująca, Roman spokojny, pewny siebie. Stefan czytał swoje dawne wiersze, sam siebie ostro krytykował, przytaczał odpowiedź pewnej redakcji na nadesłany wiersz, w którym była mowa o „miękkich jak czekolada piersiach dziewczęcych". Redakcja odpowiedziała dosłownie tak: „Nie gustujemy w miękkich piersiach, wolimy twarde". Krytyczna samoanaliza przypadła do gustu Romanowi, tym bardziej, że wydawało mu się, iż takie samoośmieszanie się przyjaciela poniża go w oczach Wandy.

Nie znał psychiki kobiecej, a przynajmniej takiej kobiety jak Wanda. Ona oceniała go nie według jednego nieudanego wiersza i dowcipnej odpowiedzi, a widziała całą postać tchnącą życiem i radością. Roman z całą nieznajomością życia człowieka pracy nie dostrzegł innych pobudek postępowania Stefana poza tymi, jakimi sam w podobnym wypadku się kierował. Innymi słowy wydawało mu się, że samokrytyka Stefana była przyznaniem się do porażki, która w następstwie spowodowała utratę chęci do pracy w umiłowanym kierunku, a tym samym do bankructwa moralnego. W sensie głęboko pojętej wartości człowieka miał słuszność. Nie miał jednak racji, jeśli sądził, że Wanda potępi go tak jak on to uczynił. Srogo miał się rozczarować.

Pod wieczór wyszli razem. Stefan poszedł w kierunku domu, Roman za jakimiś sprawunkami, po czym udał się na kolację. Po jakimś czasie poszedł, jak mi mówił, do mieszkania Wandy, aby jej dać jakąś książkę, o którą go prosiła.

Drzwi otworzyła gospodyni mieszkania. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju Wandy. Stanął jak wryty.

Na otomanie siedziała Wanda, a obok niej Stefan i . . . wyraźnie zauważył rękę Stefana zsuwającą się szybko z ramion towarzyszki. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą obejmował ją.

Speszeni siedzieli dalej obok siebie w milczeniu, a Roman nad nimi jak niemy wyrzut sumienia stał bez słowa, tylko twarz poczerwieniała mu, a wściekłość błyszczała mu z oczu. Znali jego upartą zaciekłość i przygotowani byli na wybuch. Nic podobnego jednak nie zaszło.

Po chwili cofnął się bez słowa i cicho wyszedł z pokoju. Od Romana nie dowiedziałem się nigdy o jego uczuciach względem Wandy. W dalszym ciągu chodziło mu o zachowanie pozorów, że istotą rzeczy jest obrona „Czwórki" przed rozbiciem jej przez Stefana. Stefan natomiast o to samo oskarżał Romana.

A więc od obydwu dowiedziałem się już teraz jak gdyby oficjalnie, czego domyślałem się sam od dawna. Nie można było już kryć się pod pozorami przyjaźni. Miałem oświadczenie obustronne, którego mi było potrzeba. Oznajmiłem więc dziś każdemu osobno, że nie mam zamiaru dłużej odgrywać roli parawanu i tak długo nie będę w ich towarzystwie, dopóki się jakoś nie pogodzą. Nic mnie nie obchodzą ich kłótnie. Nie miałem w gruncie rzeczy urazy do nich, przygotowany byłem już od dłuższego czasu na taki obrót. Nie chciałem im jednak dać tego do poznania.

Prosili mnie oczywiście, każdy na swój sposób i oddzielnie, bo w tym dniu unikali siebie wzajemnie, abym nie dolewał oliwy do ognia. Zapewniali gorąco o przyjaźni, przepraszali za egoizm, jakim dotychczas się kierowali i przyrzekali poprawę.

Po południu byłem sam w domu. Wchodzi posłaniec z listem. Poznałem charakter Wandy. Czytam zaciekawiony:

„Na nikim i na niczym mi tak nie zależy, jak na Twojej przyjaźni. Chciałabym z Tobą pomówić bez świadków. Bądź jutro po obiedzie w parku. Czekam na Ciebie „pod dębem".
Wanda"

Zdębiałem. Tegom się nigdy nie spodziewał. Taki obrót sprawy przeszedł moje oczekiwania.

Trzeba było się najpierw zastanowić głęboko, zanim powezmę jakiś plan działania. Muszę zastanowić się nad pobudkami, które ją skłoniły do napisania takiego listu, przypomnieć sobie fakty, które by mogły usprawiedliwić taki nagły zwrot. W ogóle wszystko wydawało mi się wielce nieprzyjemne ze względu na Romana. O Stefanie jakoś nie myślałem.

A może ja się mylę? Może chodzi jej znowu o ten przeklęty parawan? W liście jest przecież mowa tylko o przyjaźni. Ba, chyba nie rzuci mi się od razu w ramiona! Słowa „. . . na nikim i na niczym mi tak nie zależy" . . . mówią jednak same za siebie.

Nie przyszedłem do żadnej konkluzji. Z tego wszystkiego poszedłem wieczór do kina. Siedziałem sam na nudnym obrazie i nic z niego nie pamiętam.

Po przyjściu do domu zabrałem się do czytania jakiejś książki. Chciałem oderwać się od dręczących mię myśli. Nie udało się.

Wreszcie zabrałem się do pisania. I to mi pomogło. Uspokoiłem się. Okazuje się, że najlepszym lekarstwem na zmartwienia jest intensywna praca umysłowa.

14 listopada.

Zanim zjawiłem się na wyznaczonym miejscu, chciałem przedtem wybadać Stefana i Romana czy czegoś nie wiedzą od Wandy o wiadomej sprawie. Okazało się, że nie widzieli jej przez cały wczorajszy dzień. Było mi to na rękę, ale w dalszym ciągu nie wiedziałem co mam począć. Zdałem się więc na los.

W parku było przecudnie. Drzewa już częściowo straciły liście, które przybrały kolor żółty, fioletowy lub czerwony. Na chodnikach słały się różnobarwne liście, tworząc szeleszczący pod nogami kobierzec. Na niebie rozpościerały się ciemne chmury, miejscami tworząc błękitne plamy, przez które od czasu do czasu przeświecało słońce, rzucając na drzewa i chodnik jasne smugi. Wiatr szeleścił wśród liści i niczego już nie brakowało do krajobrazu typowo jesiennego. Deszcz na szczęście nie padał. Po wczorajszym deszczu pozostały ślady tylko w wilgotnej ziemi, wiatr pochłonął wodę.

Chwila przechadzki przed przyjściem Wandy dobrze zrobiła na uspokojenie wzburzonej wyobraźni.

Wreszcie nadchodzi szybkim krokiem. Wiatr i pośpiech zaróżowiły jej policzki, które płonęły naturalną czerwienią.

Powitałem ją komplementem i czekałem na rozpoczęcie. Poszliśmy w kierunku najdzikszej części parku, aby nikt nam nie przeszkadzał.

— Zapewne domyślasz się — rozpoczęła bez żadnego wstępu — co się działo w ostatnich dniach. Zapewniam cię, że nie było z mojej strony ani odrobiny winy. Nie zachęcałam ich ani nie prowokowałam do jakichś zwierzeń, nie dałam też żadnemu z nich odpowiedzi na ich oświadczenia. Owszem, mówiłam, że ich lubię, że mi ich brak, jeśli któregoś dnia nie ma ich przy mnie, ale mogłam to mówić śmiało bez żadnych ubocznych myśli. Że oni nadawali moim słowom inne znaczenie, to ich wina. Czemu ty nie wyciągnąłeś z moich słów takich wniosków? Miałeś takie samo prawo! Odkąd dowiedziałam się czego oni się ode mnie spodziewają, są mi coraz bardziej obojętni, wręcz nawet nieprzyjemni. Jeden, ustawicznie tokujący kogut, nadrabiający krzykiem brak prawdziwej męskości, wydaje mi się niepoważny. Drugi znowu bardzo poważny, i za to go cenię, ale boję się jego upartej, zaciekłej namiętności. Mimo pozorów łagodności zdolny jest do brutalności. Zresztą to nie jest typ dla mnie. Czegoś więcej wymagam od życia. Raz już byłam zamężna, więc po raz drugi tak łatwo się nie zdecyduję. Głęboko musiałabym się zastanowić, zanim wybrałabym kogoś. Na razie nie mam do tego ochoty. *Dokończenie nastąpi*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PRZEPIS KUCHARSKI

Kucharz jednego z sanatoriów znajdujących się na stokach Gubałówki w Zakopanem dostał bardzo dobre przepisy kucharskie od swego znajomego na sporządzanie potraw w nowy sposób. Po wypróbowaniu tych przepisów przesłał je swemu kuzynowi mieszkającemu w Toruniu. Po kilku dniach otrzymał od kuzyna list z podziękowaniem za wyśmienite przepisy, ale kuzyn ów zaznaczył zarazem między innymi co następuje: „. . . musiałeś się pomylić co do czasu gotowania potraw, gdyż skoro po raz pierwszy sporządziłem potrawy trzymając się ściśle twego przepisu rozgotowały się."

Oczywiście winę tego ponosi kucharz mieszkający w Zakopanem. Dlaczego?

ROZWIĄZANIA Z NUMERU 8.

ODZYSKANA PIŁKA

W domu swoim i u sąsiadów zebrali chłopcy możliwe sznurki, związali je razem i w ten sposób uzyskali długą nić. W środku tego długiego już teraz sznurka uwiązali kawałek drzewa. Następnie przeszli przez płot, każdy z nich wziął do ręki jeden koniec sznurka i manewrowali tak sznurkiem, by kawałek drzewa ślizgał się po powierzchni lodu. Gdy drzewo natrafiło na piłkę popychali nim piłkę do brzegu, gdzie ją następnie z radością pochwycili.

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

Wyrazy poziome: kareta, paleta, detto, ramota, kapele, ra, rola, para, komora, patyna.
Wyrazy pionowe: kadet, oko, retoryka, perora, paralela, Palermo, tarapaty, talar, rana.

BILETY WIZYTOWE

Prawidłowe rozwiązanie polega na dobrym zrozumieniu wyjaśnienia. A mianowicie po dodaniu do każdej z wizytówek „nic nie", a po odjęciu „ani" otrzymamy:
1. Kierownik szkoły publicznej. 2. Maszynista Kolei Wschodniej.

TOPIELICA MALARZA JANA

JAN KORCZAK

Dziś, tak jak każdego piątku, na herbatce u muzyka Z. snuliśmy opowiadania wspomnień z lat młodości.

•

Miałem wtedy coś dwadzieścia parę lat, byłem młodym i utalentowanym malarzem. Wierzyłem w siebie, wierzyłem w lepszą przyszłość. Bo chwila obecna, to był mały pokoik na poddaszu, często głód i chłód i wizyty jedynej przyjaciółki ze szkoły, też malarki „rudej Zosi". Ona wierzyła najwięcej w mój talent, no, i kochała mnie. Zresztą dziś jest moją żoną i najlepszą matką.

Pamiętam, było to w lipcu. Stałem przy sztalugach i malowałem jakieś kwiaty w wazonie. Nagle ciszę pracowni przerwało wtargnięcie „rudej Zosi". Wpadła rozkrzyczana, pachnąca. Tym razem obok bułek i kawy przyniosła fantastyczną wiadomość. Jej znajoma, jakaś hrabianka Maruszka K., szuka malarza. Celem sportretowania się. I Zośka robi starania, abym ja dostał zamówienie. Że to pierwszy byłby krok do sławy i bogactwa. Bo przecież to hrabianka, że znane nazwisko, że bogata, a więc wszystkie dane do reklamy.

No, i po kilku dniach dostałem zamówienie. „Ruda Zosia" umiała chodzić koło interesów.

Hrabianka Maruszka zapowiedziała swoją wizytę w mojej pracowni. Czekałem z drżeniem, no i przyszła, ale nie ona. Wszedł szofer w białej liberii i poprosił mnie na dół. Hrabianka czekała na mnie w aucie na dole, na ulicy. Zszedłem, a raczej zleciałem po schodach.

Na ulicy stała błękitna limuzyna. Skłoniłem się i zaproszony wszedłem do środka. Drzwi zatrzaśnięto.

Ogarnęła mnie duszna atmosfera pudła samochodu. Woń jakichś kwietnych perfum mieszała się z zapachem gazów motoru.

W rogu miękkich siedzeń, w leniwej i znudzonej, a raczej w pozie kobiety chorej siedziała — hrabianka Maruszka.

— Dziwi się pewnie pan, że zdecydowałam się wybrać pana, a nie innych sławnych malarzy. Po prostu dlatego, że jest pan młody, ja też. A tylko młodość zrozumie drugą młodość. Zrozumie często podświadomie, gdyż sam przeżywa wszystko to samo. Proszę pana, chciałam dać panu tylko wskazówki, jaki ma być portret. Otóż chcę, aby pan namalował mnie jako topielicę. Topielicę z legend ludowych, wyłaniającą się z wody i czyhającą na ofiary, na pięknych złotowłosych chłopców. Dziwi pewnie pana ten kaprys.

— Wariatka! — pomyślałem. — Ma za dużo pieniędzy, a za mało w głowie. No, ale trudno. Niech będzie topielica. W trumnie też mogę ją namalować, jeśli chce.

W czasie rozmowy obserwowałem mój przyszły model: W kącie poduszek, wtulona, siedziała młoda dziewczyna. Chorobliwie szczupła i blada. Ubrana w jakiś pastelowy kostium. Twarzyczka rasowa o wydatnym nosie i wąskich ustach. I oczy. Oczy piękne, jedyne, co było urokiem, czarem w tej twarzyczce. Podłużne, o gęstych rzęsach. Oczy koloru wody morskiej. Gdy spojrzała na mnie, zadrżałem. Oczy robiły wrażenie niewidzących. Uzupełnieniem główki były sploty włosów, takie, jak u nimf z „Primavery" Botticellego. Miały kolor bursztynu i otaczały bladą twarzyczkę niczem promienie słoneczne.

— Dostanie pan za portret pięć tysięcy. I chciałabym, aby był gotowy za miesiąc.

— Boże, tyle forsy! — pomyślałem, zaś głośno powiedziałem:

— Zgadzam się! Zgadzam się na wszystkie pani warunki. Tylko musi pani się zgodzić na kilka przykrości. Otóż musi pani kilkakrotnie pozować mi w wodzie. To jest potrzebne, aby portret „Topielicy" był naturalistyczny.

— Dobrze! — odpowiedziała.

— A więc od jutra rozpoczynamy pracę. Czasu jest mało.

I rozpoczęła się praca nad makabrycznym portretem.

Przez kilka dni, co dzień wieczorem jeździliśmy nad Wisłę pod Warszawę. Tam, zostawiając auto gdzieś z boku, hrabianka Maruszka pozowała mi do szkiców.

Stałem na brzegu ze szkicownikiem, a ona, wyłaniając się z głębokiej wody, szła powoli w moim kierunku. Długie, mokre włosy oblepiały smukłe jej ciało. Twarzyczka była bledsza niż zwykle. I oczy. Oczy, których nigdy nie zapomnę. Oczy żywe, widzące, które jednak robiły wrażenie ślepych, nieczułych na otoczenie. Oczy koloru wody. Zdawały się przeźroczyste, zrobione ze szkła. Oczy na mokrej, bladej twarzyczce. W całym tym otoczeniu — dziwne. Oczy te były oczami topielicy. Idealniejszego modelu do obrazu żądanego nie znalazłbym. Po próbach, gdy okrywałem hrabiankę płaszczem kąpielowym, unikałem jej wzroku. Bałem się spojrzeć w te dziwne oczy.

Bałem się, i jednocześnie chwytał mnie żal, bo oczy te były przeraźliwie smutne. Dziwny temat portretu, tajemnicza i fascynująca postać hrabianki, wszystko to razem stworzyło atmosferę, w której z całą pasją pracowałem z czułem, że praca moja uzyska pochwałę i będzie naprawdę dobrą.

Portret skończyłem w terminie umówionym. Przyjechał po niego szofer hrabianki, zostawiając list dziękczynny i pieniądze.

W dwa dni później, czytając gazetę, oniemiałem. Czytam wyraźnie:

„Wczoraj, w odległości pięciu kilometrów od Budapesztu, znaleziono zwłoki kobiety. Udało się ustalić tożsamość. Topielicą jest hrabianka Maruszka K. Najdziwniejszym jest fakt, że obok miejsca tragicznego wypadku, czy też samobójstwa znaleziono błękitną limuzynę, która była własnością hrabianki K. Tajemniczym wypadkiem zajęły się władze policyjne".

— Czyżby hrabianka, zamawiając swój portret, przeczuwała swą tragiczną śmierć? — pomyślałem z przerażeniem.

•

Minęło od tego dziwnego zdarzenia wiele lat. Stałem się już sławnym i wziętym malarzem. Pewnego dnia dostaję list od księcia M. z zaproszeniem na obiad. Zdziwiony, idę.

Przywitał mnie starszy, wytworny pan. Był to książę M. W czasie obiadu rozmowa toczyła się wokół ogólnych spraw. Z niecierpliwością i ciekawością czekałem na wyjawienie powodu zaproszenia.

Wreszcie moment ten nadszedł. Wstaliśmy od stołu.

Książę wziął mnie pod ramię.

Stanęliśmy przed jakimiś drzwiami. Książę otworzył je i lekko jakgdyby popchnął mnie do wnętrza. Wszedłem.

W ciemnej rotundzie oświetlonej kolorowymi witrażami, pełnej kwiatów ciętych w wazonach i w doniczkach ujrzałem na pąsowej ścianie portret hrabianki K. Moją „Topielicę".

— Mistrzu, ten portret jest powodem mego zaproszenia. Przypomina pan pewnie sobie ten tragiczny wypadek. Otóż, hrabianka Maruszka była moją narzeczoną. W dniu ślubu popełniła samobójstwo. A ja otrzymałem ten oto portret, wyobrażający ją jako topielicę.

Dzień ten był dla mnie ciosem, który całkowicie zmienił moje życie. Pan pewnie nie zna powodu samobójstwa. Otóż moja narzeczona zostawiła list.

Hrabianka Maruszka była chora na oczy. Jakaś wada organiczna, która nieuchronnie prowadziła do ślepoty.

Ostatni lekarz, słynny specjalista wiedeński, na usilne i błagalne prośby pacjentki powiedział prawdę. Ślepota była nieuchronna. Hrabianka K. z tego powodu popełniła samobójstwo.

A przecież zapomniała, że nasza miłość byłaby światłem jej na całe życie! — w tym momencie załamał się głos księcia M.

Kwietną rotundę zaległa cisza. Czułem, że jestem jak gdyby w grobowcu. A z ram portretu patrzyły na mnie oczy. Dziwne, sztuczne oczy, oczy, które przeczuwały swoją ślepotę. Biedne, chore oczy hrabianki Maruszy. Oczy topielicy.

•

Tego wieczoru już nikt z obecnych nie opowiadał swych wspomnień i przeżyć.

POMYŁKA W ADRESIE

TADEUSZ GRZEŚŁO

Poznali się z „matrymonialnego..."

Ona osiemnastoletnia blondyneczka z milutkim, figlarnym uśmieszkiem, który zdawał się nigdy nie schodzić z malutkich karminowych usteczek. On, wysmukły brunecik, z jakąś marzycielsko-melancholijną zadumą, tajoną w przepastnej głębi ciemnych oczu...

Na zielonych potokami wiosennego słońca alejach plant snuło się mnóstwo różnorakich typów ludzkich, śpieszących w tą czy ową stronę. Żywiczny aromat świeżej zieleni pączkujących krzewów sączył się w przestworza zmieszany z radosnym świergotem ptactwa igrającego na tle leciuchnych niebieskich obłoczków. Cała przyroda krzykiem młodej, potężnej piersi śpiewała zwycięski chorał zmartwychwstającego życia: WIOSNA! WIOSNA! WIOSNA!!!

Oni milczeli... widzieli się po raz pierwszy i nie wiele mieli sobie do powiedzenia, zresztą niech serca same wygrają preludium poznania...

Pierwszy on przerwał milczenie, wykrztusiwszy cicho, jak gdyby z bojaźnią cisnące się na wargi słowa:

— Nie spodziewałem się ujrzeć panią tak piękną.

Odpowiedziała mu srebrzystym uśmiechem, w którym perłowy rząd ząbków mignął śnieżną kresą w czerwieni rozkosznych usteczek, stworzonych jak gdyby wyłącznie do pocałunku.

— Pani się z tego śmieje, panno Niusiu? — spytał z lekkim rozczarowaniem.

— No... nie — odparła, nie przestając w uśmiechu pokazywać białych ząbków — przeciwnie, cieszę się, bo jak na początek to [illegible] Dziękuję za komplement...

— To nie komplement, lecz szczera prawda moja Niu... — i przerwał w pół słowa.

— O, jak widzę, to pan lubisz galop — cudownie! Radzę jednak założyć wędzidło, bo z sercem trzeba pomaleńku...

— No tak, ale widzi pani, ja lubię w uczuciu dynamikę, tempo! Szalony, nieokiełznany pęd, który by porwał i zmierzwił w uniesień ekstazie ciało i duszę w jedną nierozerwalną całość, w potęgę zdolną przetrwać wszystkie burze, jakie nam życie z sobą niesie.

— Brawo! Cudownie pan to powiedział. A zatem ręka... zgadzam się z pana poglądem. Pójdziemy przez burze we dwoje... — odparła zaglądając mu figlarnie w roziskrzone czarne oczy.

Rozstali się jak starzy, dobrzy znajomi, zaufani w sile dwojga własnych, młodych serc...

Odtąd spotykali się codziennie i miła, niczym niezamącona sielanka trwała, ku nieopisanej uciesze ich obojga...

•

— Nie! Tak dalej być nie może — nie zniosę dłużej tego stanu rzeczy! — i trzasnął silnie książką w stół, aż atrament bluzgnął i błękitnawą plamą rozlał się po przygotowanym do pisania kajecie.

— Do pioruna, tego mi jeszcze brakowało! — syknął przez zęby Stanisław Wicherski. Po dzisiejszym z nią spotkaniu był silnie wzburzony. Widział, że ich miłość z każdym dniem coraz bardziej wzera się w każdą tkankę jego jestestwa. Czuł ją w sobie, na każdym kroku gdzie stąpił nawet na tablicy w szkole, gdy kreślił trudny rysunek geometryczny, widział jej delikatną twarz przed sobą. Odebrała mu całkowicie spokój, którym się dawniej szczycił w gronie szkolnych kolegów. I dokąd to potrwa? Jaki będzie koniec?... Nie mógł narazie znaleźć odpowiedzi. Wiedział jedno, że nie może jej dłużej okłamywać! Zbyt bardzo ją kochał, by ważyć się to nieskazitelne uczucie plamić brudem kłamstwa.

Początkowo traktował wszystko jako sztubacki żart. Za ostatnie grosze przeznaczone na kupno zeszytów, opłacił anons w „matrymonialnym" podając się za urzędnika na państwowej posadzie, poszukującego miłej towarzyszki życia. Otrzymał kilka propozycyj, wybrał jedną i teraz...

— Ach! Tak mnie łeb boli z tego wszystkiego... jak ja wybrnę z tej sytuacji?... Powiedzieć całą prawdę, to znaczy stracić ją na zawsze. Milczeć dalej byłoby podłością z jego strony a przecież w końcu musi powziąć jakąś konkretną decyzję. Lecz jaką?... A może?... Długo w noc paliło się światło w studenckim pokoju Stanisława Wicherskiego, który miotał się jak zwierz zamknięty w klatce, nie mogąc zasnąć pod natłokiem myśli rozsadzającej mu czaszkę...

— Ho, ho, ho! — mruczał stary stróż otwierając komuś z spóźnionych mieszkańców domu i widząc światło w studenckim pokoju.

— Nosz pon Stanisław kuje, ale porządne z niego chłopczysko, nie włóczy się po nocy i wyspać się staremu człowiekowi pozwoli... Ho, ho, ho! będzie z niego pociecha, jak mi Bóg miły...

— Niemile zgrzytnął klucz w zardzewiałym zamku, ozwało się posuwiste starcze człapanie i chwilę potem znów cisza zaległa ponurą, szarą kamienicę...

— — — — — — — — —

— Niuśka, ja muszę ci coś powiedzieć... wyznać!... — wyjąkał Wicherski ze ściśnionego jakimś dławiącym kurczem gardła.

— No mów, proszę... Cóż znów za dziecinniada? — Zdziwiła ją trochę znużona po nieprzespanej nocy twarz zwykle wesołego Stacha.

— Otóż to wszystko jest kłamstwem... ten cały anons, że jestem urzędnikiem i poszukuję żony. Kłamstwo!... wierutne kłamstwo... Jestem biednym sierotą, studentem... może za rok, dwa ukończę szkołę i wtedy... ale dziś niemożliwe... Niuśka! Niuśka wybacz! — zaniósł się spazmatycznym płaczem tłumionym tam gdzieś w czeluściach męskiej piersi, w której biło szczere, kochające serce...

Patrzyła na niego przerażonymi oczyma, jak gdyby zdumiona i niedowierzająca usłyszanym co dopiero słowom...

— Ach, to tak?... No, wobec tego nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Nic nie znaczący drobiazg... Ot, maleńka „pomyłka w adresie". Żegnam Pana! Obojętnie wyciągnęła rękę do pożegnania, którą on gorączkowo i mocno uchwycił.

— Niestety tak!... Fatalna pomyłka! — bolesna szczególnie dla mnie — odpowiedział z goryczą i na drobnej, różowiutkiej rączce wycisnął długi, namiętny pocałunek. Mimowoli gdzieś w kąciku oka błysła łza i bezszelestnie stoczyła się po powiece.

•

— Niech Antoni zobaczy czy jest tam ktoś jeszcze...

Stanisław Wicherski zapalił papierosa i z rozkoszą wciągnął błękitny dymek w płuca. Czuł się dzisiaj trochę zmęczony. Cały dzień przyjmował interesantów. Przed paroma zaledwie dniami, dyrekcja przedsiębiorstwa, w którym pracował, zamianowała go kierownikiem jednego z działów z poleceniem zorganizowania nowego personelu biurowego. Trzeba więc było klasyfikować, wybierać, a wiadomo, że dobór odpowiedniego personelu biurowego jest rzeczą nie tak łatwą. Po całodziennej więc pracy czuł pewne znużenie... Zapatrzył się w leciutki błękitny dymek snujący się z papierosa i myślami utonął w przeszłości!... — Ach! gdyby tak dziś zjawiła się ona...

— Proszę pana, ja tu w sprawie posady... — usłyszał znajomy sobie głos. Spojrzał i zmartwiał w bezruchu, jak gdyby rażony piorunem. Przed nim stała Niuśka, jeszcze piękniejsza, bardziej kochana jak ongiś przed laty... Za moment zdołał się opanować.

— Pani o posadę do mnie, doprawdy cudowne zrządzenie losu...

— Co w tym pan widzi dziwnego — odparła nieco zawiedzionym głosem.

— No, faktycznie nic... — bąkał cichutko, jak w obawie by nie spłoszyć cudnego zjawiska. — Doprawdy, że nic... tylko, tylko tak mi jakoś dziwnie... boję się, czy to znowu nie pomyłka w adresie...

— Stachu! — szepnęła z lekkim wyrzutem.

— Niuśka!...

Dalsze słowa zginęły w długim, może nieco za długim jak na pierwszy raz namiętnym pocałunku, który wystarczył za najczulsze wyznanie...

W dwa miesiące później ślubowali sobie wierność u stopni ołtarza w przytulnym parafialnym kościółku na przedmieściu...

Wspomnienie

CZEKAŃSKI ADAM

Marta tonie w głębokim fotelu i marzy. Za oknami wirują w szalonym tańcu płatki śniegu i siadają na szybie, by za chwilę spłynąć po niej łzą lodową. Oczy lekko przymrużone, przysłonięte firanką czarnych rzęs, zdają się błądzić w nieskończoności. Twarz jej rozjaśniona cichym uśmiechem wspomnienia...

Pamięta ten wieczór letni... Księżyc wsączał przez otwarte okno snop promieni i pieścił swym blaskiem jego włosy... Jego! Stanęła jej przed oczyma smukła sylwetka chłopca, który ją tak kochał. I ona go kochała.

Pamięta... Z zewnątrz płynął letni powiew nocy, przepojony duszącym aromatem kwiecia lip. Promienie poświaty srebrzyły jego niesforne włosy i ginęły wśród plątaniny loków. Stali w milczeniu — w świętym milczeniu miłości. Słyszeli tylko przyśpieszone tętno serc. Stali blisko siebie i czuli ciepło oddechów... Ręce same złączyły się w kurczowym uścisku, a usta bezwiednie dążyły do siebie prawem miłości. Była cisza. Biała noc bez szmeru... A oni stali tak, zapomniawszy o całym świecie, sącząc do dna kielich upojenia.

Wolno rozłączyły się wargi drżące i pozostały tak rozchylone, jak gdyby oczekiwały na coś jeszcze. Pamięta... Z ust jego wypłynął cichy szept, cudny jak boska symfonia:

— Kochasz?

— Ach, kocham! — odpowiedziały jej wargi i znów złączyli się w pocałunku namiętnym, szalonym, bez końca...

Ciała ich tuliły się do siebie, jak gdyby chciały przeniknąć jedno w drugie i połączyć się w nieśmiertelną całość. Szybkie stłumione oddechy pałały żarem krwi, buchały płomieniem miłości, drgały żądzą namiętną. Pili nektar zapomnienia. Drżeli opanowani tajemną mocą życia. Piersi, którym brakło tchu, falowały wzburzone rozkoszą... Ciała ich gięły się pod ogromem wzruszenia i zastygały co pewien czas wyprężone siłą niewidzialną. Oczy przysłonięte mgłą ekstazy widziały tylko głębię zmysłów. Stali tak spleceni wśród letniej nocy i snuli namiętny sen miłości.

Pamięta jego smukłą sylwetkę, gdy zgrabnym ruchem gięła się pod ogromem wrażenia, gdy tuliła się do jej piersi. Czas dla nich nie istniał. Płynęli na falach bezzmysłów. Pamięta jego głos, gdy szeptał:

— Kocham cię! Kocham twe oczy... wyraziste i duże... firanką czarnych rzęs przysłonięte... czasem smutne, czasem figlarne, czasem namiętne... gdy patrzą na mnie długo. Kocham twe usta... rozchylone jak kielich kwiatu pachnące jak róże, gdy szepczą mi o miłości. Kocham cię! Kocham twe ręce, gdy jak węże rozkoszy oplatają mą szyję i głaszczą me kędziory... Kocham cię, kocham, ach kocham...

Pamięta te słowa. Wpiły jej się w serce, weszły jej w krew. Były źródłem upojenia... kiedyś... Tak... kiedyś przed laty... A teraz są źródłem tęsknoty, boleści... Bo On odszedł... Był młody... Odszedł w świat, by zdobyć stanowisko należne sobie... Przepłynął przez jej życie jak burza, co już nie wraca, lecz w głębinach serca rzeźbi niezatarte ślady. I łudziła się, że jednak wróci... Lecz on przepadł w wirze życia, jak kamień, w nurcie rzeki... Odszedł na wieki... Była zmuszona wyjść za mąż za człowieka, którego nie kochała... bo on miał środki, by zabezpieczyć jej byt... Nienawidziła go za to swoje poniżenie... Ach! Jak go nienawidziła! Lecz była jak okręt, co pośród burzy zawinął do nieprzyjacielskiego portu i musi się poddać...

— — — — — — — — —

Za oknami zadymka ustała... Drzwi do salonu cicho skrzypnęły i przywróciły jej myśl do szarej rzeczywistości...

Stanęła w białym fartuchu pokojówka...

— Proszę pani, pan prosi do swego gabinetu.

Przez twarz pięknej pani przeleciał cień ironii, a potem osiadła rezygnacja...

— Powiedz panu, że już idę!...

ZA PÓŹNO

Andrzej odłożył skrzypce. Spojrzał w szarość wieczoru nad wierzchołkami palm rozłożystych.

— Wszędzie wodał — szepnął. — Rozlana dookoła małej wysepki, z której nie ma powrotu.

Z haotycznymi myślami przebiegł całe pięć lat pobytu na wyspie.

Przyjechali w taki sam wieczór. Zbigniew z żoną i on tak samo z kochaną, młodziutką żoną. Jak to było... Acha! Tak, poświęcili się nauce obaj zapaleńcy, żywcem zakopali się na tej bezludnej wysepce. Ona, Maria, odjechała. Pewno! Gdy zobaczyła to miejsce, gdzie żyć by musiała tyle lat, przekonała się, że żyć tu nie potrafi. Nawet z nim, z Andrzejem.

— Wracam — powiedziała wtedy. Znasz mię dobrze i wiesz, że mię świat porywa. Nie umiem żyć bez świata. Myślałam, że będę mogła żyć z tobą, tylko dla ciebie. Dziś przekonałam się, że dla mnie istnieje świat. Nie miej do mnie żalu. Jeśli przekonam się, że będzie i tam źle, wrócę do ciebie.

Tak, tak, dziwne są ludzkie serca. I on mógł wtedy wrócić z nią. Ale żal mu było Zbigniewa, a poza tym przekonał się, że więcej niż żonę kocha swoje probówki, swoje doświadczenia. I został. Gdyby miał Marię przy sobie, wytrzymałby jeszcze lata, ale bez niej... Czuje, że jest u granic ludzkiej wytrzymałości.

I co teraz?

Ma kontakt ze światem. Radio. Ale czy to wszystko?

To radio przed rokiem przyniosło mu wiadomość od żony, że wróci do niego za rok, gdy okręt przybije do wyspy.

Już miesiąc minął od czasu, kiedy miał statek „Astoria" przywieźć mu Marię. Chyba już nigdy nie przybije do brzegu. I on już nigdy nie zobaczy Marii.

Co to jest? Czyżby zmysły? Czyżby chodziło tu tylko o zmysły? Może...

Od dłuższego czasu patrzy jakoś inaczej na Helenę, żonę Zbigniewa. Tak, zupełnie inaczej. Z pożądaniem. Z tym, nie dającym się stłumić pożądaniem.

Helena jest śliczna. I nie kocha męża. Nie, na pewno — on o tym doskonale wie, bo mu sama powiedziała. Dała niedwuznacznie do zrozumienia, że on...

W ogóle Helena była dziwną kobietą. Przecie kiedyś był dla niej Zbigniew wszystkim. Czyżby mogły przez te kilka lat tak zmienić się uczucia?

Pójdzie do Heleny i weźmie ją. Po prostu! Ma do tego prawo. Czy na bezludnej wyspie obowiązywać mogą przepisy tamtego świata? Gdyby Zbigniew zrozumiał, potrafił zrozumieć, poszedłby do niego i powiedział:

— Daj mi na jakiś czas swoją żonę.

Ale zna Zbigniewa i wie, że na to się nigdy nie zgodzi.

Wieczór — ciemność zupełnie otuliła nas.

Helena mieszka sama. Wystarczy przejść kilka kroków, aby być w jej pokoju. A Zbigniew? Mieszka w drugim końcu korytarza, poza tym na pewno zajęty jest swoimi doświadczeniami. Nie będzie słyszał. I nie będzie wiedział.

Andrzej walczył, jak nigdy dotąd z burzą swych pragnień, z myślami, których określić i ująć w zdania nie można.

Posłyszał szelest. Ktoś idzie do niego. Ktoś! To śmieszne. Jakby był co najmniej w Warszawie. Tu może iść tylko Zbigniew, albo... Kroki są lekkie, to nie Zbigniew.

Helena. Idzie do męża, czy...

Drzwi z szelestem otwierają się. Helena. Piękna, cudowna w aureoli czarnych, lśniących włosów. Tak dziwnie patrzy na niego.

— Czy ty nic nie wiesz? — szepce.

Wie. Wie wszystko. Już teraz wie wszystko. Że i ona pragnie jego.

Przywarła do niego gorąca.

Zegar, pamiątka tamtego świata był świadkiem zapomnienia.

Andrzej wiedział dobrze, czym grozi mu odkrycie ich miłości. Ale nie zależało mu na niczym. Było mu tak dobrze w ramionach rozgrzanej kobiety.

Zdradza Marię... Ha... ha... a Maria ile razy go zdradziła? I czy ich co kiedykolwiek wiązało, jeśli nie przyjechała? i nie wróciła dotąd?

Nie zdziwił się, ujrzawszy na progu Zbigniewa. Spojrzał na nich. Andrzejowi zdawało się, że rzuci się i zamorduje oboje. Ale nie!

— Chodź ze mną! Słowa te zwrócone były do Andrzeja. Wyczuł to.

Poszedł.

— Rozumiem ciebie. Ale nie potrafię żyć bez niej. Jesteśmy mężczyznami i możemy mówić zupełnie spokojnie.

Zbigniew chce skończyć ze wszystkim. Przeczuwał, że tak się stanie, że musi się tak stać. I wie, że nie potrafiłby dalej żyć. I w ogóle co to za życie...

Więc co? Więc...

— Idź do niej! — szeptał Zbigniew jak w gorączce. — Idź. Daję wam ostatnie chwile zapomnienia, ukojcie się nimi.

Andrzej nie wie, co się z nim dzieje. Przecie mógłby go zabić i żyć z nią, tylko z nią. Ale idzie posłusznie do niej. Wie, co Zbigniew zrobi. Ma proch, dużo prochu. Wysadzi w powietrze cały dom.

— Andrzeju! — dolatuje szept. — Zrozumieliśmy się, prawda?

— Tak! Zrozumieliśmy się!

Stoją z Heleną przy oknie. To już ostatnie ich chwile. Są spokojni, dziwnie spokojni.

— I co teraz?

— Trudno! Ja nie będę walczył. Nie umiem. Kończy się krótka noc, świt rozpurpurowił niebo.

A tam na horyzoncie... Co to? Okręt. „Astoria".

— Zbigniew! — krzyczy Andrzej.

Właściwie po co to wszystko? Gdyby przyjechała wczoraj. Teraz już za późno. Tam jest Maria... A Helena...

— Za późno — szepce Andrzej i rozumie w tej chwili samego siebie.

Jeden wstrząs, a potem już nic nie czuje pod gruzami.

Te-Em.

ROZMAITOŚCI

KALAKUA — KRÓL WYSP SANWICHSKICH

Jak to było właściwie z dynastią władców Wysp Sandwich? Egzotyczna kraina, zagubiona wśród bezkresu wód Oceanu Spokojnego, przecież nie ostała się przed monarszym berłem ludzi z dalekich stron...

Bo, że panował tam miejscowy „król", o tym wiadomo było szeroko... Ale, że obcy intruzi osiągnęli zaszczyt panowania Kamakom, o tym nie wszyscy wiedzą zapewne.

A historia to dość nawet romantyczna! Scenariusz filmowy byłby — że palce lizać! Prosimy posłuchać:

Jest na świecie rok 1821.

Okręt rybacki L'Independance wypływawszy z przystani Belfordzkiej w Massachusetts na Pacyfik w celu połowu wielorybów. Nie miał szczęścia tym razem: rozbił się na rafach, a z załogi uratowało się zaledwo czterech ludzi, dostając się na czas do łodzi.

Błąkając się czas jakiś po Oceanie, dotarli wreszcie kompletnie wycieńczeni do wspomnianych wysp, zamieszkałych wówczas przez półdzikie plemiona pierwotne.

Pojmani, stawieni zostali przed oblicze „majestatu", władcę „Wszech-Ziem" — Kamehameha, ojca dorodnej „księżniczki" Córy-Słonecznego-Blasku.

Fakt to autentyczny najzupełniej.

Piękność ta zakochała się od pierwszego rzutu oka w jednym z ocalonych rozbitków o bladej cerze, gwałtownie objawiając wolę natychmiastowego poślubienia wybrańca.

Wzdrygał się stary król Kamehameha, szemrali głośno pretendenci do dłoni oliwko-skórej księżniczki.

Ale gdy królewna zagroziła odebraniem sobie życia, dbały o dobro jedynaczki król natarł tym razem sam tak stanowczo na obiekt westchnień córeczki — że nie było możności się wymigać od zięciostwa monarszego, bo groziły wówczas niewesołe ewentualności...

Tak tedy młody marynarz, na którym spoczął łaskawy wzrok wyspiarskiej zalotnicy, pochodzący z Barnstable w Connecticut, doszedłszy do przekonania, że wyboru nię ma — został zięciem królewskim.

Jego Królewska Mość Kamehameha obsypał młodą parę podarunkami a dostojny małżonek królewskiej córki posiadł moc zaszczytów i tytuł następcy tronu, z wybranym przez młodego żonkosia mianem Kalakua, t. zn. w języku Kamaków „Bóg dopomógł".

Szczęśliwe było pożycie małżeńskie królewskiego zięcia aż do roku 1846. Wtedy to bowiem Kalakua zapragnął odwiedzić ojczyste strony opuszczone ćwierć wieku temu i nie zważając na niezadowolenie teścia ni łzy żony puścił się przepływającym obok wysp żaglowcem ku rodzinnym brzegom. Żaglowiec napotkał w drodze wieloryby, a w naszym „księciu" odezwała się natura marynarza-łowcy. Los jednak i tym razem nie był mu przychylny. W walce z wielorybem-olbrzymem zginął, poniesiony falą.

Królewna-wdowa, przebolawszy śmierć ukochanego, oddała się wychowaniu syna, Dawida, zasiadającego następnie na tronie dziada, w roku 1875.

Od tego czasu dynastia Kalakuów panuje łaskawie Kamakom na Wyspach Sandwich, a przedstawiciele jej odwiedzają od czasu do czasu Barnstable, dla uczczenia rodowego gniazda protoplasty swego, białego rozbitka z okrętu L'Independance.

WÓR ZŁOTA — ZA POEMAT

Od najdawniejszych czasów literaci, historycy, pieśniarze, trubadurzy — wynagradzani byli za swe dzieła i utwory przez władców swych, rządy dawnych państw, czy też księgarzy, którzy zabiegali o możność publikowania ich utworów.

Herodot w 1444 r. przed Chr. wynagrodzony został za odczytanie przed zebranymi Ateńczykami fragmentów swych dzieł — darem w wysokości pięćdziesięciu talentów. Była to suma dość poważna na owe czasy, sięgająca mniej więcej wysokości przedwojennych 20 tysięcy złotych. Pewien poeta grecki otrzymywał sztukę złota za każdy wiersz poematu sławiącego zwycięstwo Greków nad Kserksesem. Zapiski historyczne mówią o jakimś bogaczu syrakuskim, który za epigramat opiewający jego okręt zapłacił zbożem.

Honorarium Terencjusza za dwa przedstawienia „Eunucha" wyniosło około 500 zł. Oktawiusz zaś kazał Wergiliuszowi wypłacić za epizod, w którym była mowa o synu Oktawiusza — Marcellusie 10 sestercyj tj. około 700 złotych.

Zabawna przygoda wydarzyła się pewnego razu Augustowi. Od dłuższego czasu otrzymywał on od pewnego ubogiego Greka epigramaty na swoją cześć. Mierna musiała być wartość tych utworów, skoro cesarz, chcąc pozbyć się natarczywego Greka, skreślił kiedyś na prędce na tabliczce epigramat i wręczył go Grekowi. Ten wyrazawszy swój zachwyt, wyjął z sakiewki parę denarów i wręczył je cesarzowi, zapewniając go, że utwór jego zapewne na większe zasługuje honorarium, jednak on ubogi Grek nagradza go proporcjonalnie do swojego majątku. Ubawiony tym cesarz kazał wypłacić dowcipnemu Grekowi 100 tysięcy sestercyj.

Poeta włoski Andrelini otrzymał jako nagrodę za poemat, opiewający zwycięstwo Karola VIII we Włoszech — worek srebrnych monet. Ariosto wydrukował „Orlando szalonego" na swój koszt i sprzedał księgarzowi ferraryjskiemu 100 egzemplarzy za cenę 150 franków.

Balzac twierdzi, że admirał de Joyeuse zapłacił opactwem za sonet. Richelieu ofiarował zaś poecie Colletet — 600 funtów za 6 wierszy, opowiadających o fontannie w jego parku.

Swift otrzymał za swego „Guliwera" honorarium, które wynosiło 300 funtów. W r. 1657 Milton podpisał kontrakt z księgarzem Simmonsem, sprzedając mu „Raj utracony". Za pierwsze wydanie otrzymał 5 funtów z góry i 5 funtów po wyczerpaniu nakładu.

Tantiemy, czyli procent od wpływów kasowych powstały około r. 1650. W tym czasie Quinault napisał komedię p. t. „Rywale" i prosił znanego pisarza Tristana, aby sprzedał ją trupie aktorskiej. Trupa ta zaproponowała wypłacić dziewiątą część wpływów kasowych jako honorarium dla autora.

KRÓLOWIE KOJARZĄ MAŁŻEŃSTWA

Jak uczy historia, nie tylko nasze ciotki i starsze paniusie podlegają manii kojarzenia małżeństw i mieszania się do cudzych spraw sercowych. Szczególną manią w tym kierunku odznaczali się także potężni władcy, którzy, czy to z zamiłowania, czy z nudy i dla rozrywki, czy wreszcie dla przeprowadzenia wątpliwej wartości eksperymentów, swatali wiele osób spośród swego otoczenia.

Król francuski Ludwik XIV, przypatrując się kiedyś występującym na festynie dworskim karłom — postanowił wychować rasę miniaturowych ludzi przez kojarzenie liliputów między sobą. Król szybko przystąpił do realizacji dziwacznego pomysłu. Po jakimś czasie jednak okazało się, że eksperyment nie udał się. Dzieci liliputów przeważnie rosły szybko i rychło przekroczyły wzrost swych małych rodziców.

Ludwik XIV nie zrażony niepowodzeniem postanowił dobierać małżeństwa spośród ludzi odznaczających się piękną budową ciała i czarującym nadzwyczajną urodą. Nie chodziło tu zupełnie o małżeństwa z tej samej sfery. Małżonkowie musieli być piękni. O ile można wierzyć kronikom, potomstwo tak dobranych stadeł odznaczało się rzeczywiście niezwykłą urodą. Zwłaszcza dziewczęta zachwycały niecodzienną pięknością.

Mniej miłe zwyczaje miał despotyczny władca Rzymu — cesarz Neron. Władca ten wybierał najbardziej niedobranych ludzi — by wiązać ich w małżeństwa. Im większy był kontrast między małżonkami tym większa przyjemność cesarza. Znanym jest fakt, że młody i przystojny szlachcic rzymski, który naraził się Neronowi — był zmuszony poślubić starą żebraczkę — bez nosa i rąk, by salwować swe życie. Podobno Neron wyprawił tej „dobranej" parze huczne wesele i sam bawił się na nim doskonale.

Tenże Neron, przyglądając się kiedyś przechodzącym pojmanym chrześcijanom, zauważył kobietę, która wzrostem swym przewyższała przynajmniej o dwie głowy swe otoczenie. Niedługo potem odbył się ślub nadwornego wesołka cesarza, karła, z wspomnianą kobietą.

Także Napoleon I lubiał pomagać Amorowi. Będąc jeszcze porucznikiem w Auxonne, skojarzył on pierwsze małżeństwo. Jako cesarz, Napoleon ożenił swych braci, siostrzeńców i wydał za mąż siostry.

Niejednokrotnie cesarz tak odzywał się do swych oficerów:

— Czy nie zechciałbyś mój generale poślubić panny X?

Generał był oczywiście olśniony propozycją, a cesarz zjawiał się u owej damy i mówił jej:

— Generał mój jest w pani po uszy zakochany! Wszak nie odmówi mu pani ręki?

Pani oczywiście ręki nie odmawiała i w krótkim czasie odbywał się ślub.

Ilustrowany Kurier Polski — Kraków, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Sławny Duval, bibliotekarz Franciszka I, znany był ze swej skromności. Pewnego dnia nieuk jakiś zadał mu pytanie, na które Duval odpowiedział:

— Nic o tym nie wiem.

— A przecież cesarz płaci panu za to, aby wiedzieć . . .

— Cesarz — odparł uczony — płaci mi za to co wiem. Gdyby mi płacił za to czego nie wiem, wszystkie skarby cesarstwa nie wystarczyłyby.

•

Jednego dnia pędził na wspienionym koniu pewien mollah do Smyrny. Nagle jakaś straszliwa postać chwyciła cugle konia. Było nią widmo cholery.

— Znam cię — rzekł święty mąż. — Jakież nieszczęście chcesz wyprawić?

— Pospieszam do Smyrny — odpowiedziało widmo — aby na rozkaz Allaha uśmiercić 700 wiernych.

— Usiądź za mną — odparł mollah — pojedziemy razem.

Gdy zbliżyli się do bramy miasta, rzekł kapłan Allaha:

— Zaklinam cię w imię Allaha, abyś nie uśmierciła więcej wiernych niż nakazał ci Pan.

Widmo przyrzekło i zaraz zabrało się do niszczycielskiego dzieła. Lecz zamiast 700 umarło 7000 osób.

Gdy cholera opuściła Smyrnę znów spotkała się z mollahem, który uczynił jej ciężkie zarzuty, że nie dotrzymała słowa.

Na to odparła:

— Uśmierciłam tylko 700, reszta umarła ze strachu.

•

Marka Twaina, znakomitego humorystę amerykańskiego, zaproszono raz na bankiet, w czasie którego pewien generał zabrał głos i przemawiał tak długo i nie interesująco, że niektórzy z gości znudzeni okazywali niekłamaną chęć opuszczenia sali. Wówczas Mark Twain odezwał się półgłosem do swego sąsiada:

— Mamy znowu dowód, jak nasze ministerstwo wojny nie umie się poznawać na ludziach. Właśnie tego generała, który sam jeden mógłby wszystkich wrogów zmusić do ucieczki, spensjonowano!

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Niech mi pan nie depcze wciąż po nagniotkach, mój panie!
— Bardzo przepraszam, nie wiedziałem przecież, że pan ma nagniotki.

Das Illustrierte Blatt

SZACHY

pod redakcją mistrza świata i Europy dra **A. Aljechina**

Problem Nr 8 M. Segers

Czarne: **Kc3, Hh2, Wb4** i d2, Sb3 i c2, **piony**: a5, b5, b2, e7, f3 (11).

Białe: **Kb7, He4, We2** i e5, Sd6 i f4, **Gg8 i h8, piony**: a3 i c5 (10). **Mat w dwóch posunięciach.**

Rozwiązanie problemu Nr 8 (Larsona)

1. f2—f4! e5×f4 (A, B) 2. Hb7—b3!
(A) 1 . . . e4×f3 e. p. 2. Hb7×a6!
(B) 1 . . . e4—e3 2. Hb7×g2 i mat w 3 pos.

Partia Nr 12

Białe: Dr. A. Aljechin — Czarne: K. Hromadka
grana w turnieju w Pradze w grudniu 1942 r.

Hiszpańska

1. e2—e4 e7—e5	22. h3—h4 Gb7—c8
2. Sg1—f3 Sb8—c6	23. Sf3—h2 Sd7—f8
3. Gf1—b5 a7—a6	24. Sh2—g4 Hf6—e6
4. Gb5—a4 Sg8—f6	25. Sg4—e3 He6—h3 [5])
5. 0—0 d7—d6	26. Gc2—d3! Sg6—e7
6. c2—c3 Gf8—e7	27. c3—c4 Hh3—d7
7. d2—d4 Sf6—d7 [1])	28. Hd1—h5 [6]) Sf8—e6
8. Wf1—e1 0—0	29. Se3—f5! e5×d4 [7])
9. Sb1—d2 Ge7—f6	30. c4×b5 a6×b5
10. Sd2—f1 Wf8—e8	31. Sf5×d4 Se6×d4
11. h2—h3 b7—b5	32. Gb2×d4 c6—c5
12. Ga4—b3 Sc6—a5	33. Gd4—b2 Gc8—a6
13. Gb3—c2 Gc8—b7	34. e4—e5 Se7—g6
14. a2—a4 Sa5—c4	35. Gd3—f5 Hc7—d7
15. b2—b3 Sc4—b6	36. e5×d6 [8]) Hc7×d6
16. a4—a5 [2]) Sb6—c8	37. We1×e8+ Wd8×e8
17. Gc1—b2 Sc8—e7	38. Wa1—d1 Hd6—c7
18. Sf1—e3 Se7—g6	39. Hh5—f3! [9]) b5—b4? [10])
19. Se3—d5 [3]) c7—c6	40. Wd1—d7! We8—e1
20. Sd5×f6+ Hd8×f6	41. Kg1—h2! [11]) Sg6×h4
21. g2—g3! [4]) Wa8—d8	42. Hf3—a8+

Czarne poddały się.

Uwagi: [1]) System obronny Czygorina, na który białe mają najprostszą odpowiedź: 8. Ga4×c6 b7×c6 9. d4×e5 d6×e5 10. Sb1—d2 itd. Białe miały ochotę w pierwszej rundzie zagrać partię pozycyjną ciężkiego kalibru.

[2]) To zamknięcie skrzydła hetmańskiego dokonane jest w tym przewidywaniu, że czarne w przestrzeni zacieśnionej, jaka im stoi do dyspozycji, nie będą w stanie ustrzec się przed wymianą swych gońców.

[3]) Tym samym białe zapewniają sobie posiadanie pary gońców — pierwszy realny sukces.

[4]) Białe dysponują wciąż ograniczoną ilością pól.

[5]) Ten wypad hetmana okaże się stratą tempa. W każdym razie czarne skazane są na posunięcia wyczekujące.

[6]) Zarówno 28. c4×b5 jak i od razu 28. d4—d5 były posunięciami obiecującymi. Ruchem hetmana zdradzają białe zamiary ataku na pozycję króla.

[7]) Lub: 29 . . . Se7×f5 30. e4×f5 Se6×d4 31. c4×b5 a6×b5 32. f5—f6 h7—h6 33. a5—a6 itd. na korzyść białych.

[8]) Po tym otrzymują czarne grę, wystarczającą do wyrównania partii. Białe mogły jednak grając po prostu 36. e5—e6 wzmocnić poważnie swój nacisk na skrzydło królewskie przeciwnika.

[9]) Daleko obliczona próba wygrania partii, której główny wariant połączony jest z ofiarowaniem hetmana. Gdyby więc teraz 39 . . . Ga6—b7 to 40. Hf3—c3 Sg6—e5 41. a5—a6! Gb7—a8 (A) 42. Hc3×e5! We8×e5 43. Gb2×e5 Hc7—b6! (nie Hc7—a5 44. b3—b4!) 44. Wd1—d7! f7—f6 45. Ge5—d6 g7—g6 46. Gf5—e6 Kg8—h8 47. g3—g4! Hb6—a5 48. Kg1—h2! z groźbą 49. g4—g5! itd (A) 41 . . . Hc7—c6 42. a6×b7! Se5—f3 43. Kg1—g2 Sf3—h4+ 44. Kg2—h3 Sh4×f5 45. Hc3—e5! i wygrywa.

[10]) Po tym ruchu czarne przegrywają od razu. Czarne mogły się bronić jeszcze grając: 39 . . Ga6—b7 40. Hf3—c3 f7—f6! 41. Gf5—d7 We8—d8.

[14]) Oczywiście nie 41. Kg1—g2? Sg6×h4+ z wygraną czarnych.



— Proszę pani, czy to nie cudownie, że nasze kapelusze mają te same upodobania?

Kölnische Illustrierte Zeitung

SPOWIEDŹ

Humoreska

Widząc, że w konfesjonale ksiądz ze stułą siedzi
zbliżył się młody student i ukląkł do spowiedzi.
Niedługo trwały jednak te zwierzenia święte
i student rzekł, że więcej grzechów nie pamięta . . .

Przez kratki ksiądz w twarz spojrzał hożą, opaloną
i zapytał młodzieńca: — Czy masz narzeczoną?
— Mam!—Kochasz ją?—Nad życie!—Ach, to bardzo ładnie,
kiedy się żenisz? Prędko? — Nie! nie wiem dokładnie,
za rok lub za dwa może . . . Nie mogę dopóki
nie dostanę posady, gdy skończę nauki! —
— Widujesz ją? Jak często? Gdzie? — Przeważnie w domu,
miłość nasza w rodzinie nie tajna nikomu!
Matka zawsze jest z nami, a we dwoje czasem
idziemy i to rzadko, na spacer! Pod lasem . . .

— Co pod lasem???—ksiądz pyta—Mów wszystko, a szczerze,
bo choćbyś chciał co zełgać i tak nie uwierzę! —
Więc student rzekł pokornie: — To raz tylko było,
że poszliśmy wieczorem . . . Słońce zachodziło
i sosny cudnie lśniły w poświacie czerwonej . . .
— Co tam sosny . . .—ksiądz przerwał—Mów o narzeczonej.—
— Tam nagle mi na szyję rzuciła ramiona!
Wpół objąłem ją tkliwie, a wtem nagle ona
gdy ją pełen miłości całowałem w usta
zasłabła mi w ramionach, pobladła jak chusta
i upadła na trawę! Więc ja, przerażony,
wpadłem w dzikiej rozpaczy między bliskie domy
o pomoc i o wodę! Skropiłem twarz, szyję,
szczęśliwy, że zaczęła oddychać i żyje!
Gładziłem ją po włosach z tkliwością ogromną,
aż wreszcie odzyskała zupełnie przytomność!
Jakże chciałem całować jej usteczka blade!
Bałem się, że uczuje nienawiść i wzgardę
i że własne swe szczęście zabiję na wieki . . .
Gdy otworzyła wreszcie zmęczone powieki
uśmiechnęła się smutno, ale była wściekła . . .
Pewnie, że mnie przelękła . . . Ale nic nie rzekła!
Powierzyłem ją w domu matczynej opiece
i już się to raz drugi nie zdarzyło więcej! —

— Dobrze! — rzekł ksiądz łagodnie do młodego pana. —
A za pokutę, synu mój, zjesz wiązkę s i a n a!
— Jak to? Czym koń? czy krowa?? — z przerażeniem w głosie
zapytał młody student. A ksiądz:
— Jesteś o s i e ł ! ! !

Cyryl

UWAGA! FOTOAMATORZY!



Na lewo:

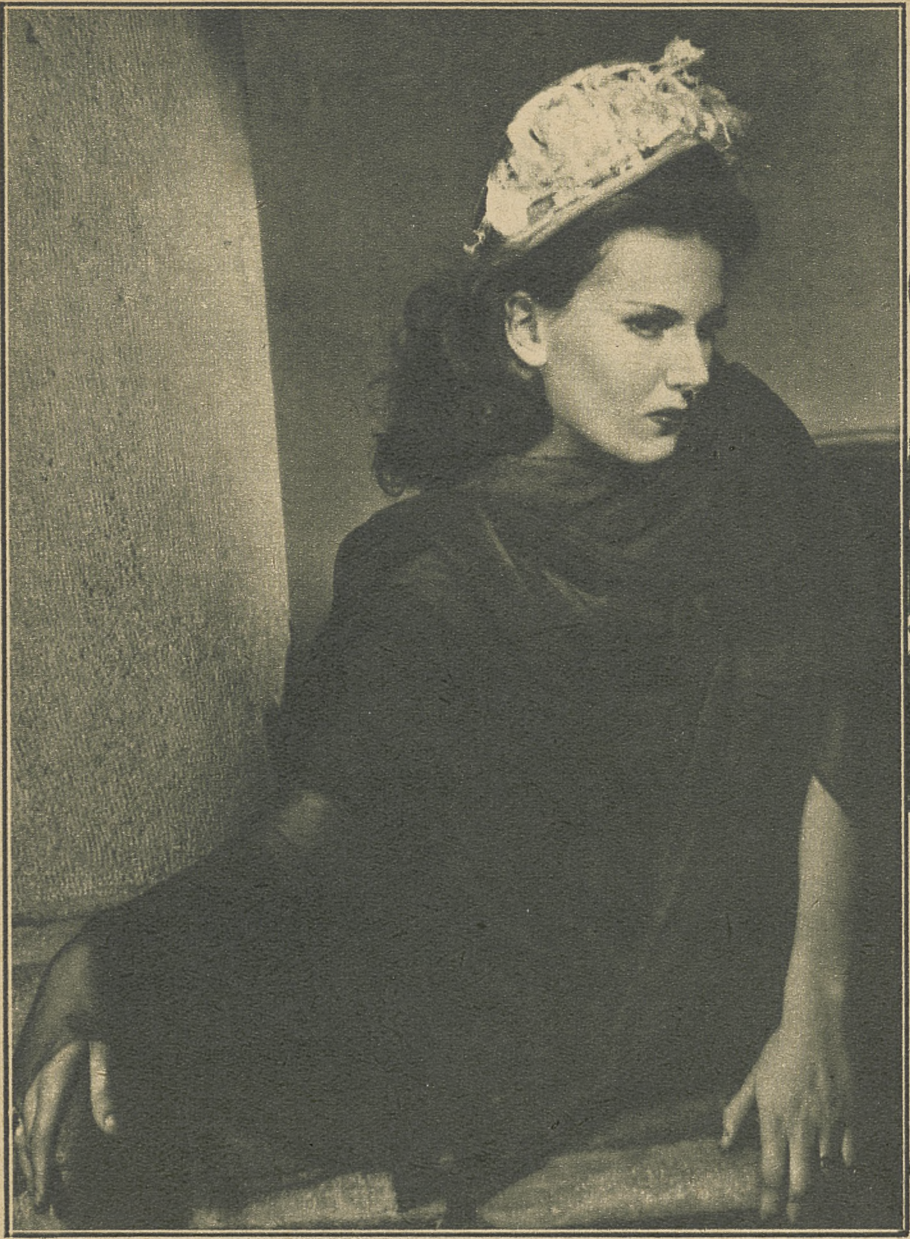
LASEK BRZOZOWY

Największy urok tego zdjęcia stanowi kontrast między wielu prostopadle stojącymi pniami brzóz, a poziomą linią domów, między drogami w lesie, a cieniami drzew. Filtr żółty lub zielony (który można również stosować i przy panchromatycznych filmach) byłby jeszcze silniej wydobył walory tego zdjęcia. Przy tej okazji zaznaczamy, że zdjęcia na śniegu należy robić zawsze w słońcu. Zdjęcie to nadesłał nam p. Edward Lembke z Tarłowa. Ap. Voigtländer Bessa, czas naświetl. 1/100 sek.

STRÓŻ DOMU

Oryginalna „psia buda" i zadowolona mina pieska nadają temu zdjęciu pewną dozę humoru. Od góry można by kawałek zdjęcia obciąć. Promień światła, który pada przez szczelinę dachu budy psuje nieco wrażenie, ale można go ostrożnie zaretuszować (na matowym albo półmatowym papierze przy pomocy ołówka, na gładkim przy pomocy farby wodnej). Zdjęcie powyższe wykonała p. Izabela Murawska z Krakowa. Aparat Zeiss-Ikon, przysł. 6,3, czas naświetl. 1/250 sek.





Wiosenny kapelusik ze złotawej słomki. Oryginalność modelu polega na przybraniu z usztywnionej koronki białego haftu. Coś, czego jeszcze nie było!

Zbliża się Wiosna

KAPELUSZE I KOSTIUMY

Fot. Atlantic 4

Twarzowy kapelusz z grubo plecionej słomki, przybrany suto drapowanym welonem tiulowym, nadający całości charakter lekki, wiośniany.







Ciemno-popielata, granatowa lub czarna spódniczka i żakiecik w szkocką kratę o żywych kolorach dostosowanych do koloru spódniczki. Do tego kompletu nosi się zarękawek z tej samej materii co żakiet, zaś kapelusz lub czapkę o fasonie prostym, harmonizującym z kolorem spódniczki.

Bardzo szykowny kostium z materiału imitującego włóczkową robotę na drutach, w kolorze szarym w podłużne pasy o dwóch odcieniach. Żakiet bez rewersów, kieszenie wcięte pionowo.